MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK V. Nr 12 (51) WARSZAWA, 19 GRUDNIA 1925 R. CENA NUMERU 80 gr.

ARYSTOKRATYZM KULTURY

DEMOKRATYZACJA kultury wywołuje obniżenie jej poziomu — takie twierdzenie wydawać się może uzasadnionem, gdy się obserwuje życie polskie. Niewątpliwie sąd, tak uogólniający zjawiska chwili obecnej w Polsce, jest błędny. W krajach zachodnich nie możnaby żadną marą skonstatować stosunku zależności między rozszerzaniem się kultury na szerokie warstwy i opadaniem na niziny jej poziomu w sferach przodujących.

Istotnie w Polsce teraźniejszej jesteśmy świadkami niepokojących objawów. Redukcja nastąpiła przedewszystkiem w dziedzinie duchowej. Możnaby sądzić, że żyliśmy dawniej na zbyt wysokiej stopie umysłowej i że warunki zmuszają do cofnięcia się na poziom, odpowiadający naszym możliwościom. Poważniejsze książki nie znajdują czytelników, poważniejsze czasopisma upadają z powodu braku poparcia. Sensacyjna prasa brukowa, obliczona na schlebianie głupawym gustom ulicy, wypiera publicystykę, która usiłowała kierować opinją publiczną i wychowywać politycznie społeczeństwo. Publiczność teatralna żąda zwłaszcza bogatej wystawy i nagości na scenie. Wszechwładne kino zwalnia od wszelkiego wysiłku intelektualnego, od zastanawiania się nad jakiemikolwiek problematami. Przykładów dalszych mnożyć nie trzeba. Trudno orzec, czy dostawcy tej podrzędnej strawy stwarzają takie potrzeby duchowe, czy też przystosowują się do potrzeb istniejących.

Nie chodzi o to, że instytucje o charakterze zaspokojenia instynktów tłumu istnieją i prosperują. We wszystkich społeczeństwach masy miejskie karmią się podobnem pożywieniem duchowem. Podtym względem naśladujemy dość wiernie zagranicę. Natomiast groźnym objawem, swoiście chyba polskim, jest opadanie inteligencji do poziomu motłochu, zadawalanie się jej odpadkami produkcji umysłowej.

Gdy stawia się inteligencji zarzuty płytkości i ucieczki przed myślą poważniejszą, słyszy się stereotypowe usprawiedliwienia. Powołują się sfery inteligencji na bardzo ciężkie warunki materjalne, na znużenie i wyczerpanie nerwowe, wywołane przewrotami politycznemi i szarpaniną lat ostatnich. A przecież dla ludzi, znękanych troskami materjalnemi, powinno być wytchnieniem oderwanie się od wyłącznego zaprzątania niemi umysłu. Właśnie ta niezdolność oderwania się dowodzi, że istnieje brak zainteresowań się wyższego rzędu. Kultury nie tworzyły i darów jej nie spożywały wyłącznie sfery bogate, życiem duchowem nie żyli jedynie ludzie, wolni od zabiegów o chleb codzienny. Jeżeli inteligencja jest naprawdę zmęczona „polityką“ bieżącą, podjazdową walką stronnictw jeżeli odwraca się ze zniechęceniem czy wstrętem od tych zjawisk, to przecież nie powinna zadawalać się powstającą w ten sposób pustką wewnętrzną, lecz raczej winna się zwrócić do zagadnień głębszych, choćby szukając mocnego gruntu ideowego dla wyjścia z obecnego położenia i rozwiązania dramatycznych problematów rzeczywistości. „Nie chodzę na dramaty — mówi niejeden „inteligent“ — bo dość mam dramatów w życiu“. Bądźmy pewni, że nigdy prawdziwego dramatu wewnętrznego nie przeżywał, lecz stara się, aby go żaden głębszy problemat z kwietyzmu nie wyrwał, sennego jego spokoju nie zadrasnął.

Skąd się właściwie wzięło „zdemokratyzowanie“ kulturalne polskiej warstwy oświeconej? Dlaczego tak łatwo pogodziła się ona z obniżeniem życia duchowego, umysłowego? Trzeba stwierdzić, że nasza kultura jest słaba, pozbawiona długowiekowej tradycji, nieprzerwanej ciągłości. Mieliśmy w naszych dziejach okresy upadku i zastoju. Dlatego w szerszych kołach inteligencji głębsze życie duchowe nie wypływało z wewnętrznej potrzeby, nie stało się nakazem moralnym. Był to raczej wysiłek, na który się zdobywano pod wpływem panującej opinji. Aby się zaliczać do sfery przodującej, należało brać jakiś udział w życiu intelektualnem, wykazywać jakieś zainteresowanie zagadnieniami umysłowemi. Gdy zjawiły się owe surogaty kultury, nie wymagające żadnych wysiłków, inteligencja w ogromnym odsetku „zdemokratyzowała się“

kulturalnie, zeszła do poziomu tłumów, łaknących „*panem et circenses*“.

Można jeszcze znaleźć i inną, że tak powiem ogólnoeuropejską przyczynę powyższego zjawiska—wyspecjalizowanie się w pracy, które w daleko posuniętej formie prowadzi do tego, co Niemcy ochrzcili mianem „*Fachidiotismus*“. Rozwój poszczególnych specjalności wymaga często tak wyłącznego poświęcenia się zawodowi, że lekarz, inżynier, czy nawet uczony, co w nim się zasklepia, staje się w istocie rzemieślnikiem, tracąc zdolność do obejmowania szerszych widnokręgów umysłowych, nie mając czasu i ochoty interesowania się ogólnemi zagadnieniami.

Czy stan obecny jest nieunikniony i nie można nastroju dzisiejszego stopniowo zmienić? Bynajmniej, sytuacja wydaje się przejściową. Społeczeństwo dążenia ku górze na stałe wyrzec się nie może. Pęd do podniesienia się na wyższy szczebel, dążenia arystokratyczne, są instynktowne, zwłasza w Polsce, w jej warstwach ludowych ten instynkt jest żywiołowy. Objawia się on nie tylko w wysiłkach ku wydźwignięciu się na wyższy poziom dobrobytu materjalnego, lecz również w chęci zajęcia wyższego stanowiska społecznego. Chodzi tylko o to, co opinja publiczna uważa za wartości społeczne. Od tego zależy kierunek wysiłków tych, którzy chcą się wyróżnić z tłumu i być otoczonymi uznaniem i szacunkiem.

Poeta rzymski głosił: *Odi profanum vulgus et arceo.* Trzeba, aby zorganizowała się arystokracja duchowa w społeczeństwie, aby się skupiła i stworzyła dla swego środowiska trybunał opinji, ustalający wartości społeczne. Jeżeli potrafi ona potępiać konsekwentnie motłoch umysłowy i moralny, arystokratyczny pęd społeczny sprawi, że inteligencja, która się opuściła, gdy od niej wysiłów duchowych wymagać przestano, że jednostki, które będą chciały należeć do sfer przodujących, znowu poczną nastrajać się na wyższy ton umysłowy. Arystokracja narzucić może społeczeństwu swoje sądy, swój umysłowy *standard of life.*

Inteligencja przechodzi kryzys moralny. Dała w znacznym stopniu wmówić w siebie, że jest słabą i zdegenerowaną. Aby stanowić w życiu społeczeństwa czynnik ważki, chce naśladować robotników i za źródło przyszłej swej mocy gotowa uznać związki zawodowe dla obrony interesów materjalnych. Schodzi na stanowisko, że w życiu społecznem decyduje liczba, a nie jakość, czyli sama się zrzeka swego znaczenia. Nie zdaje sobie sprawy, że i to groźne dla niej panowanie wyłącznie liczby i przywiązywanie decydującej wagi do siły mięśniowej jest produktem prądów umysłowych, które się w jej sferze zrodziły. Jeżeli narzeka teraz na chamstwo, na jego kult w instytucjach społecznych, to przecież rozpanoszenie się chamstwa jest właściwie jej dziełem. Każdy prąd społeczny, każda teorja, choćby zawarta w okrzyku „*dołoj gramotnyje*“, jest wytworem kół inteligencji. Nie powstają one z nizin, lecz na wyżynach. Mogą te prądy i teorje lepiej lub gorzej odpowiadać nastrojom i poziomowi umysłowemu mas, ale zawsze przenikają do nich od sfer oświeconych, nawet teorja o zwyrodnieniu inteligencji i umiejscowieniu wszelkich cnót w masach.

Tę odpowiedzialność za nastroje mas i ten zarazem przywilej kierowania życiem zbiorowem trzeba uświadomić inteligencji. Jej wartość polega na tem, że jest piastunem idei i wytwórcą kultury. A kultura ma zawsze formę arystokratyczną. Szczyty ją stwarzają, narzucają jej wymagania tym, którzy do warstwy przodującej moralnie społeczeństwu się zaliczają, do niej dostać się usiłują.

B. WASIUTYŃSKI

OSOBY, HASŁA I IDEE

PRZEŻYWAMY obecnie czasy rewolucyjne. Rewolucyjne w tem znaczeniu, że niemal wszyscy zdają sobie sprawę z możliwości, a nawet i konieczności przewrotu, gruntownej przemiany dzisiejszego stanu. Ma się wrażenie, że znajdujemy się w jakimś impasie, z którego gwałtem trzeba się wyrwać. Niema wiary w drobne poprawki zła, które nas otacza, w powolną jego naprawę. Poprostu wadliwe są fundamenty naszej budowy państwowej, wadliwy jest stosunek jednostki do państwa, źle się czujemy w tych urządzeniach, które u nas w ciągu kilku lat niepodległego bytu zaprowadzono. Jedni lękają się przewrotu, drudzy go wyczekują z upragnieniem, ale wszyscy widzą, że podupadł mocno autorytet istniejących instytucyj, a także i ludzi, którzy je reprezentują. Społeczeństwo pragnie ładu, porządku, władzy, a tymczasem niema ani ładu, ani porządku, ani władzy. Wygasła wiara w instytucje parlamentarne, urzędy nie cieszą się tem poważaniem, którem powinny się cieszyć w prawidłowo zorganizowanem państwie. Oczekuje się powszechnie jutra, które ma być odmienne od dzisiaj.

Nie wszyscy poprzestają na biernem wyczekiwaniu, ani też nie poddają się uczuciu beznadziejności. Wielu uśmiecha się przewrót; zależnie od usposobienia, temperamentu i politycznych skłonności, jego hasłem jest monarchja, mussolinizm lub poprostu Piłsudski (zresztą te idee czy osoby występują w najrozmaitszych kombinacjach). Czy jednak naprawdę może nas uzdrowić sama idea monarchji, poszukiwanie polskiego Mussoliniego lub awantura, dokonana w imię Józefa Piłsudskiego?

Jeżeli nie zechcemy idei monarchicznej uważać za równoznaczną z tem, co robią na zewnątrz nasi monarchiści, to nie będziemy mogli lekceważyć tego ruchu, ani też traktować z ironją całej tej myśli. Ma ona sens głębszy i ma siłę życiową. Ale chodzi o to: nie wiele nam pomoże samo hasło monarchji, ani nawet sam król, gdyby się przypadkiem znalazł w Polsce. Wyobraźmy sobie, że wszystko zostaje po dawnemu, te same instynkty w ludziach, te same stronnictwa, te same metody polityczne, a tylko to wszystko zostanie nakryte królewską koroną: w istocie rzeczy zmieni się tylko forma, a nie treść istotna. W niektórych krajach królowie są tylko prezydentami, a zdarza się czasem, że prezydent lub prezes ministrów jest naprawdę królem. Przecież tu chodzi o coś innego: o przebudowę dzisiejszej Polski, o nowe jej urządzenie; o nowe gospodarstwo, politykę, nawet i moralność polityczną. Niektórym ludziom się zdaje, że wystarczy sprowadzić króla do Polski, by wszystko

zmieniło się na lepsze. Inni znowu wiążą z tem nadzieje bardziej specjalne, wyobrażając sobie, że wprowadzenie monarchji położy kres reformie rolnej w jakiejkolwiek postaci. Mniejsze już o to, czy w ten sposób wyrządza się usługę idei monarchicznej. Ale ostatecznie hasło zaprowadzenia monarchji jest tylko hasłem, niczem więcej, nie jest jeszcze prawdziwym programem, ani też nie jest samo przez się, wielką siłą moralną. Tem samem więc nie może mieć samoistnej siły twórczej.

Podobnie jest z popularnością mussolinizmu w Polsce. Wielu ludzi, znużonych troskami codziennemi, zawiedzionych w swoich nadziejach, pragnących zmiany, woła z utęsknieniem: „ach, gdybyż się znalazł u nas Mussolini“! Tego polskiego Mussoliniego obarcza się w myślach najróżnorodniejszemi zadaniami: ma on odbudować przemysł, uzyskać pożyczkę zagraniczną, pomnożyć kapitał, ułatwić powrót do dawnego, beztroskiego życia. Wszystko zrobi polski Mussolini—zrobi za nas samych, a my będziemy korzystali z owoców jego rządów. W tem wołaniu o Mussoliniego, prócz pierwiastka śmiesznego, tkwi także i treść głębsza. Społeczeństwa pragną przedewszystkiem, by były rządzone, by był rząd nad niemi. Gdy zaś narodem rządzą po kilka lub kilkanaście miesięcy różne rządowe wielkości, które po swoim sezonie wychodzą z mody, nic dziwnego, że pragnie się czegoś stałego i trwałego. Tak jest nietylko u nas.

W tych nadziejach tkwi jeden błąd zasadniczy: sprowadzają one bowiem cały przewrót włoski do osoby Mussoliniego, i nie zdają sobie sprawy z istotnej treści ruchu faszystowskiego. Daleki jestem od tego, by niedoceniać znaczenia Mussoliniego, tej postaci na miarę rzymskich Cezarów, ale Mussolini to, co zrobił, nie zrobił za Włochów, lecz przez Włochów, dzięki ideom, które wyraża faszyzm włoski. Nie jest to dyktator w rodzaju jakiegoś meksykańskiego Porfirio Diaza; jest to wódz ruchu, mającego treść bardzo głęboką. Faszyzm ma za sobą długą pracę ideową, ma swoją filozofję, swój pogląd na państwo, na religję, na dziejowe znaczenie Włoch. Słowem, ma wielki program, którego siłą jest fakt, że ten program wyrósł organicznie z gruntu włoskiego, z ziemi włoskiej i włoskiej historji. Jest to ruch narodowy włoski w najpełniejszem tego słowa znaczeniu. To też wszelkie naśladownictwo tego ruchu może stworzyć tylko karykaturę. Wielkie przewroty w dziejach narodu mogą być dokonane tylko wtedy, gdy ich podstawy tkwią głęboko w jego życiu, w jego świadomości, gdy uwzględniają w całej pełni warunki, wśród których naród żyje i specjalne trudności, które ten naród ma do zwalczenia.

Innemi słowy: nie wystarczy pragnąć dyktatora, trzeba mieć ideę. Osoba bez idei jest niczem. W jej imię można wywołać zamieszanie, ale społeczeństwa się nie uzdrowi. Kult osoby, oparty tylko na przywiązaniu, załamie się, gdy zetknie się z twardą rzeczywistością, gdy trzeba będzie działać. Gdy jakiś ruch pretenduje do roli kierowniczej, to ten ruch musi dać odpowiedź na wielkie zagadnienia, jakie stoją przed narodem. I zależnie od rodzaju tych zagadnień ów ruch musi mieć taką, a nie inną fizjognomję. To też nie potrzeba długo uwydatniać, że tak zwana Piłsudczyzna ma tylko osobę, a nie ma programu, że w dzisiejszych naszych warunkach jest niebezpiecznym anachronizmem. Czy to jest lekarstwo na kryzys gospodarczy i na bezrobocie? Czy to starczy za program naprawy skarbu i waluty? Czy ten ruch zabezpieczy spokój i panowanie prawa, którego społeczeństwu tak potrzeba?

Symbole, hasła, osoby nie zastąpią programu i twórczego wysiłku. Na nic nie zdadzą się spiski, prowadzące do przewrotu dla samego tylko przewrotu. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że nasze stosunki muszą uledz gruntownej przemianie, że musi przyjść coś nowego. By to jednak była zmiana na lepsze, trzeba przedewszystkiem wiedzieć, ku czemu się idzie, trzeba mieć wyraźny, konsekwentny pogląd na Polskę, trzeba wiedzieć, jak naprawi się gospodarstwo, finanse, jak urządzi się państwo. Nie wystarczy samo niezadowolenie z tego, co jest dzisiaj. Nie wystarczy samo pragnienie zmiany, chęć przewrotu, w myśl hasła: *après nous le déluge*. Trzeba przedewszystkiem pracy. Trzeba wydobyć z siebie świadomą, zorganizowaną wolę. I to zarówno wolę pozytywnego czynu jak i opanowanie różnych odruchów, którym może podlegać społeczeństwo. Wielka przemiana, która ma nastąpić, nie może przyjść z zewnątrz, przy bierności i rozproszkowaniu społeczeństwa, lecz musi być przemianą w duszach, opartą na wzmocnieniu się poczucia odpowiedzialności za losy narodu, na gotowości do ofiar i poświęceń. Nie wolno biernie wyczekiwać wydarzeń. *Ducunt fata volentem, nolentem trahunt.*

ROMAN RYBARSKI

WIEDZA DLA OJCZYZNY

(W DRUGĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI MAURYCEGO BARRESA)

Są miejscowości — pisze Maurycy Barrès w *Colline Inspirée*—które wyrywają duszę z letargu. Są miejscowości, owiane tajemnicą, wybrane przez stulecia, gdzie doznaje się szczególnie intensywnych wzruszeń duchowych. Takiemi miejscowościami są, według niego, Mont-St.-Michel, Puy-de-Dôme, Lourdes, wrzosowisko Carnac, czarny, groźny, tajemniczy las Ardenne, a wreszcie milsze mu, niźli wszystkie inne, wzgórze Sion-Vaudémont, ów „rodzaj ołtarza, wzniesionego pośrodku wyżyny, rozciągającej się od Szampanji do Wogezów“. Na wzgórzu tem, wyraźniej, niż gdziekolwiek poza niem, potrafił odczuć swoistego ducha Lotaryngji, tej najokrutniej stratowanej przez wroga części Francji.

Jeśli w rzeczywistości istnieją takie „wzgórza natchnione“, pobudzające do twórczości duchowej, to niewątpliwie istnieją też tak silne indywidualności twórcze, że wyciskają niezatarte piętno na życiu swego społeczeństwa. Maurycy Barrès niezawodnie do tych jednostek wybranych należy. Dzieło jego wyrywa z letargu, zniechęcenia, opieszałości, skłania do rozmyślań artystycznych, pobudza do czynu. Genjusz Barrès'a otwiera przed nami pełnię życia.

*

Dwa lata upływają właśnie od chwili, gdy żałobny dzwon Notre-Dame zwiastował Francji, że ten, co najpełniej jej twórczą myśl uosabiał, zakończył życie.

I miejsce, jakie zajmował Barrès w narodowem życiu francuskiem, pozostało dotychczas opustoszałe. Ileż razy w trudnych chwilach, jakie Francja obecnie przeżywa, odczuć się dawał brak tego wielkiego człowieka, pisarza i myśliciela! Ileż dobrego mógł był zdziałać jego głos trzeźwy a wymowny, jego umysł jasny i nieomylny instynkt patrjoty.

Piętnaście ostatnich lat życia Barrèsa, to powrót do ziemi lotaryńskiej, na której się urodził; powrót do jej wielkich zmarłych: w okresie tym oddał się całkowicie, bez zastrzeżeń na służbę ojczyźnie. Żadna dziedzina ży-

cia narodowego nie była mu odtąd obojętna. Autor *Diverses familles spirituelles de la France* nie pozostawał głuchy na żadne jej wezwanie. W r. 1913 prowadził kampanję w imię uczuć religijnych, której wyrazem stała się książka: *La Grande Pitié de Eglises en France*. W pisanej w czasie wojny *Chronique de la Grande Guerre* dał świadectwo najwyższego napięcia uczuć narodowych, obok głębokich, poważnych refleksyj o bezpieczeństwie i przyszłości Francji. Pod wpływem tej samej, szeroko pojętej myśli narodowej, powstało ostatnie jego dzieło: *Pour la Haute Intelligence Française**), końcowy akord harmonijnej symfonji jego życia.

To dzieło, ostatnie, poświęcił Barrès wymownej obronie interesów wiedzy francuskiej, a obronę tę oparł na głębokiem przeświadczeniu, że tak, jak wiedza uczonych przyczyniła się do zwycięstwa Francji na polu bitwy, podobnie i w czasie pokoju jest ona rękojmią, która zapewni krajowi odbudowę, bezpieczeństwo, dobrobyt gospodarczy i utrzymanie wpływu Francji na inne narody. W imię też hasła „wiedza na usługi Ojczyzny", zaraz po wojnie, bo już w r. 1919 rozpoczął Barrès wielką kampanję parlamentarną i prasową, która obudziła sumienia, poruszyła opinję, dotarła do sfer oficjalnych.

Myśl Barrès'a oparta była na założeniu, że „uczeni zbawili Francję w czasie wojny i przyczynią się także do odbudowy kraju w czasie pokoju, ale dla dokonania tego dzieła potrzeba im odpowiednich środków. To też rozpoczynając swą planową kampanję w sprawie „niedoli laboratorjów" oparł się na starannie zgromadzonych danych, cyfrach i dokumentach. Nauka, jej potrzeby, znaczenie i górne posłannictwo, nigdy z pewnością nie miały gorętszego i bardziej oddanego obrońcy, niż autor „Nacjonalizmu", który sam przecież bynajmniej się za uczonego nie uważał. A podstawą i punktem wyjścia jego akcji w tej sprawie było przeświadczenie, że skoro „nauka francuska wzięła przeważający udział w obronie i wyzwoleniu od najeźdźcy ziemi ojczystej, to człowiek, pracujący w laboratorjum, stał się godnym swego brata męczennika, pozostającego w okopach".

W patrojtyzmie Barrès'a szukać trzeba wytłómaczenia zapału, z jakim się sprawie nauki oddał i jej bronił. Zaś na podtrzymanie swej tezy—której zresztą nikt nie mógłby kwestjonować — oparł się na faktach niezbitych, a jakże wymownych! Stwierdził, iż nauka niemiecka na równi z armią prowadziła przez cztery lata walkę przeciwko Francji i światu. Bez chemji, siły niemieckie nie mogłyby wystarczyć, została też ona zmobilizowana, powołana na pomoc przez sztab generalny niemiecki w bitwach nad Yserą i nad Marną. A jak chemja przyczyniła się do pierwszych zwycięstw Hindenburga i Ludendorffa, podobnie też wybawiła Niemcy od głodu i zimna, pozwalając im fabrykować masowo sztuczne pożywienie i sztuczne ubranie. Korpus specjalny niemieckiej „armji naukowej", wynosił 30,000 chemików.

Barrès wykazał, że właśnie posiadanie zorganizowanych laboratorjów i formuł chemicznych, dotychczas nie wprowadzonych w życie, dawało Państwom Centralnym ową pewność zwycięstwa, która pozwoliła im na zuchwałe rzucenie wyzwania całej Europie. Świetność niemieckiego tryumfu miała olśnić świat cały. Wielcy chemicy niemieccy, Fischer i Bayer, ze spokojem i pewnością podpisywali głośny „manifest 93". Jednakowoż nauka francuska — stwierdza Barrès — potrafiła zaimprowizować obronę i zwyciężyć.

Dla Barrès'a zabranie głosu w imię polepszenia bytu uczonych, nawoływanie do przeznaczenia środków na laboratorja, na badania naukowe—było koniecznością: chodziło tu o wielkość imienia Francji, o jej odbudowę intetektualną, o wykorzystanie jej bogactw umysłowych, podniesienie dobrobytu, rozszerzenie wpływów francuskich na inne narody, — przedewszystkiem łacińskie i słowiańskie—i sparaliżowanie w ten sposób niebezpiecznej propagandy niemieckiej.

Te wysiłki wielkiego pisarza nie poszły na marne: władze państwowe, organizacje społeczne i poszczególne jednostki, czynem odpowiedziały na jego wymowne wezwanie. Powstały nowe fundacje, posypały się zapisy i dary. Dzień 27-go Maja 1923 r. — „*la journeé de Pasteur*"— stał się poniekąd datą w historji nauki francuskiej, jako świadectwo zrozumienia jej roli przez najszersze koła społeczeństwa. A jeżeli uczeni francuscy nie znajdują się jeszcze w najlepszych warunkach, to jednakże, w znacznej mierze dzięki inicjatywie Barrès'a, los zarówno samych uczonych jak i laboratorjów francuskich jest już dziś wiele lepszy, niż przed kilku laty.

W Polsce ta ostatnia karta z życia i działalności wodza myśli nacjonalistycznej francuskiej mniej jeszcze znana jest bodaj, niż inne. Tembardziej należało zwrócić na nią uwagę, jako na świadectwo wszechstronności myśli narodowej, na jej obecność i płodność we wszystkich dziedzinach życia.

Paryż I. BRIARES

*) *Maurice Barrès:* Pour la Haute Intelligence française, — Plon Nourrit Edit.

RADOŚĆ ŻYCIA I MŁODOŚĆ POEZJI STAROPOLSKIEJ

„DOBRA MYŚL" U REJA

NIEMA w literaturze naszej utworu, z któregoby „biło ziemiaństwo, zapach gleby zoranej, łąk skoszonych, lasów odwiecznych" — jak to pięknie pisze Brückner — z taką mocą żywiołową i czarodziejską, jak z „wieśnych" utworów Reja, będących hymnem pochwalnym na cześć nadewszystko umiłowanej „roliczki".

Rej ukochał wieś od dziecka. Czerpał z niej pogodę i zdrowie, „wczasy" i „pożytki", pokrzepienie i natchnienie.

„Z rusznicą a z wędką biegając około Niestru aż do 18 się lat ćwiczył, bąki strzelając. A gdy przyniósł pełne zanadrze płocic, laskowych wodnych orzechów, a kaczora abo gołębia, abo wiewiórkę za pasem, to go z oney koszule z płoskonek rozstrząsali, rospasawny: ano wszystkiego dobrego dosyć" (Trzecieski).

Obcowanie z przyrodą wywowało zbawienny wpływ na bujną twórczość poety. Nowaczyński pisze z tego powodu, co następuje: „Oto, że chłopięce latka w ostępkach leszczynowych na zbieraniu bukwi i orzeszków zbereźnie sobie pędził, z wiatrami się gził, a na zielonej piersi matki ziemi wzipany spał, stało się, że to wszystko co rośnie, kwitnie, dojrzewa, i że to drzewie, te strumienia, sioła i chmury, wiosna i jesień, wszystko, co oczy widzą i słyszą uszy — bardzo sobie ukochał i umiłowanie to z latami w sobie zmocniwszy, stałe zmysł rzeczy materjalnych i żywotnych zachował, dziwiąc spółczesnych jasną trzeźwością i przyrodzoną, bo z przyrodą krewieństwem umiłowania związaną mądrością".

„Lubowanie się" Reja życiem przyrody podkreśla pof. Brückner, zestawiając „Wizerunk" z jego pierwowzorem łacińskim.

„Roi się „Wizerunk“ (w przeciwieństwie do oschłości Palingenjusza) od obrazków i porównań, na jakie tylko myśliwca, pszczelarza, rolnika, gospodarza stać było. Brat szlachcic, na poły jeszcze do ziemi przywiązany, z zapachem trudów około niej do literatury wkracza“ *).

Trudno o trafniejsze i piękniejsze określenie. Rej wkroczył do piśmiennictwa naszego istotnie „z zapachem trudów“ ziemiańskich, z wonią świeżo-zoranej gleby, łąki skoszonej, „wieśnych“ prac. Wkroczył z żywiołowym pędem młodości. I takiemu poecie zarzuca się dziś gnuśność i bezwład przydrożnego kamienia.

Słusznie podnosi Brückner, iż inni spółcześni, Tasso czy Szekspir, Ronsard czy Kochanowski, nie lubowali się tak, jak Rej i nie upajali czarem przyrody „mimo wszelkich wysmażonych mozolnie porównań, jakiemi za Homerem i Wirgilim sztucznie, po szkolarsku przetykali swe wiersze“. Lecz zbyt surowo sądzi tu prof. Brückner Kochanowskiego. Wielki nasz poeta z Czarnolasu, w cieniu lipowym tworząc natchnioną „Sobótkę“, którą Chmielowski słusznie nazywa „różaną jutrzenką na niebie naszej poezji narodowej“, nie używał „wysmażonych mozolnie porównań“, nie śpiewał „sztucznie i po szkolarsku“, lecz złożył natchniony hołd „wsi spokojnej, wsi wesołej...“

Słuszną jest natomiast uwaga prof. Brücknera, iż Rej był pierwszym u nas i w Europie malarzem świata przyrody, z którego czerpał „dobrą myśl“ i pogodę ducha.

Umiłowanie przyrody łączył Rej z umiłowaniem Boga. Poeta woła do Stwórcy:

„ptaszkowie lataią,
a Twą cześć rozlicznemi głosy wyznawaią...
drzewa sie rozkwitaią w pięknej zieloności
dawaiąc wdzięczny owoc ku ludzkiey żywności.
Kwiatuszki nie roztrzęsły po szyrokiej ziemi,
a każdy w różnych farbach dziwnie piękność mieni.

Lecz opisując w „Raju ziemskim“ „drzeweczka rozmaite, co takich na świecie niemasz“, „kwiatki foremnie rozsadzone“, „równiuczko rostące“ cyprysy i cynamony— poeta podziwia cuda, które go jednak nie chwytają za serce. W „dziwnym wirydarzu“ Rej czuje się obco i nieswojo. I dopiero tam, „gdzie ptaszkowie rozliczni“

„skacząc po onych drzewkach tak pięknie śpiewali,
że sie drugi zapomniał słuchaiąc...“,

dopiero w świecie ptaszęcym Rej jest znowu u siebie. Z wyjątkiem bowiem papug — i słowicy i kosowie i kukułeczki i skowronkowie są bliskimi jego znajomymi.

„Iuż słowicy, kosowie, iuż oni drozdowie,
by też mieli wymawiać śpiewaiąc po słowie,
więc ony kukułeczki nadobnie kukaią,
więc papugi rozliczne głosy wydawaią,
skowronkowie na drzewy wzgórę wylataiąc
krzyczą pięknie *dobrą myśl* każdemu działaiąc.“

Najpiękniejszym i najtypowszym pomnikiem staropolskim ziemiańskiej radości życia jest „Żywot człowieka poczciwego“.

Rej wylicza nam radości wiejskie wszystkich czterech pór roku. „Gdy przypadnie wiosna, azaż owo nie roskosz w ogrodzie z żonką, czeladką, po sadkoch, po ogródkoch sobie chodzić, szczepków naszczepić, drobne drzewka rozsadzić, niepotrzebne gałązki obcinać, mszyce pozbierać. Też sobie wineczka i różyczek możesz przysadzić. To sobie z oną roskoszą nasieiesz ziołek potrzebnych... Nuż zasię tego pilno trzeba doźrzeć, aby nadobnie roliczkę uorano“.

Szczęśliwość tryska poprostu z tych słów uśmiechniętych. Szczęśliwość to i radość ziemiańskiej pracy — wesele trudu, nic wspólnego nie mające z gnuśnością.

„Gdy przydzie ono gorące lato, azaż nie roskosz, gdy ono wszytko, coś na wiosnę robił, nadobnie doźrzeie, a poroście. Anoć niosą iabłuszka, gruszeczki, wisneczki, śliweczki z pierwszego szczepienia twego. Więc z ogródków ogóreczki, maluneczki ogrodne ony inne roskoszy. Tylko sobie mówić: używay miła duszo, masz wszytkiego dobrego dosyć“.

Ciągle zatem — szczęśliwość pracy i jej plonów.

Równie roskoszne są „Krotochwile jesienne“. „Ano miody podbieraią, ano owieczki strzygą, owoce znoszą, zakrywaią a drugie suszą, ano rzepy, kapusty do dołów chowaią, ano wszytko miło, wszytko sie śmieie, wszytkiego dosyć...“

Urozmaiceniem ziemiańskiego żywota są wreszcie rozrywki: rybołówstwo i łowiectwo. Poeta nie wierzy „kto jest myśliwy, aby komu miał być krzywy“. „Przydzie zima, azaż mała roskosz, kto ma lasy, abo łowiska z rozmaitym sie zwierzem nagonić, a ieśli sie poszczęści więc go nabić. Azaż nie roskosz z charty sie przeieździć, na cietrzewka sieć zastawić, kuropatwinkę rozsiadem przykryć, a przeieździwszy sie, a obłowiwszy sie do domu przyiechać. Ano potraweczek nadobnych nagotowano, ano grzaneczki w czaszy w roskosznem piwie miasto karasków pływaią.“

Wieśniak „wolnej myśli“ należy do naiszczęśliwszych ludzi:

„wszytko sie w nim śmieie, a wszytko z weselem.
Przechadza sie z laseczką po sadu, po polu,
patrzy ieśli w pszenicy nie będzie kąkolu,
abo iedzie z myślistwem, a swey krotochwile
używa w bezpieczeństwie sobie k woli mile.
Potem przydzie do domu; ano iuż gotowo.
Zje sobie smaczny kąsek — a barzo mu zdrowo“

Źródłem „dobrej myśli“ jest, według Reja, ognisko domowe. „Gdziekolwiek weźrzysz wszytko miło, wszytko iakoby sie śmiało. Nuż gdy ieszcze owi przyrodzeni błazenkowie, a owe dziateczki wdzięczne przypadną, gdy iako ptaszątka koło stołu biegaiąc świrkoczą, a kugluią, iaka to jest roskosz, a iaka pociecha.“

Radość życia i bujna młodość — to cechy ziemiańskich utworów poety z Nagłowic. Od zarania piśmiennictwa naszego poczyna się ten „związek psychiki polskiej z ziemią i wsią polską“ o czem niedawno pisał w „Myśli Narodowej“ p. Stefan Dobrzański.

Nawet z moralizatorsko-religijnych pism poety, w których pozował na „egzegetę, wytrząsającego z rękawa kopy dogmatów i gnomów“ — wytryska czasem niespodzianie żywiołowa radość.

Kończąc ascetycznie surowe „Zwierciadło“ w „zamknieniu do dobrych towarzyszów“ poeta buntuje się przeciw obcej mu i nieszczerej w jego utworach ascezie, przeciw pesymizmowi i lekceważeniu szczęśliwości doczesnej.

Rej woła w szczerem uniesieniu:

„Krotochwila każda, skądkolwiek przypadnie,
zafrasowane serce rozweseli snadnie“.

...Każdy franunk y ciału y i duszy barzo szkodzi...

Wszakeśmy nie Kartuzi ani Bernadyni,
abowiem chłop ponury podobien do świni“.

„Chłopom ponurym“ ku pamięci warto przypomnieć te proste słowa „człowieka poczciwego“ i uśmiechniętego...

JULJAN EJSMOND

*) „M. Rej“. A. Brückner. Kraków 1905.

PRZEKŁADY

Z FR. RUCKERTA:
„SONETÓW PANCERNYCH"

CO ty tam kujesz kowalu? „Łańcuchy".
Na własnej braci ukujesz je szyje.
Co radlisz chłopku? „Łan pod plon". Utyje
Wróg na twym plonie, — naż tobie kłos głuchy.

*

A ty co robisz rybaku? „Sieć wiję".
Śmierć ty wyciągniesz siecią na brzeg suchy.
Ty za zwierzyną, łowcze? Jak pies juchy
Szczwanego capu, wróg twej krwi upije.

*

A ty wiesz matko, co będzie z twej troski,
Z synaczka twego o głowince jasnej?
Znieprawion — oplwa kiedyś ojców kości!

*

Piszesz poeto?... „Ognistemi głoski
Ludu mojego piszę wstyd — i własny,
Żeśmy niezdolni wznieść się do wolności"!

Z WILHELMA JORDANA:
„ANDACHTEN"

BEZKARNIE gnuśnej nie spędzisz godziny:
Ze zdroju siły dasz okup twej winy.
Za trud nagroda zasie cię nie minie:
Znoje twe — siłą zmartwychwstaną — w synie!

*

Użyciom twoim postanów granice:
Tak brak, jak nadmiar, krzywdzą twe dziedzice.
Coć z sił niestatek twój lub niedostatek
Ujmie, ci z szczęścia zapłacą podatek.

*

Przodków twych praca czucia twe utkała,
Ich dłonią wieczność członki twe kowała
Z prawiecznej treści. Pomnij, dłużnik wierny,
Wieczności spłacić dług: bądź nieśmiertelny!

Przełożył J. B. K.

SAMA W RUINIE UMARŁEGO DOMU...

SAMA w ruinie umarłego domu,
Ugodzonego w serce domu, siedzę
I, zda się, wnikam w nieznaną nikomu,
W tę między śmiercią a żywotem miedzę.

*

Skrzypką świerszczową wczesny zmierzch dygoce...
Czy już mnie niema, czy wciąż jeszcze jestem?
W żałobnych ścianach tajne życia moce
Nasion mnie sypkim urzekły szelestem...

*

Skrzypką świerszczową mrok jesienny brząka,
Podzwania suche na przetaku ziarno...
Dokonań bliskość, witanie, rozłąka,
Wszystko pod skibą przytajone czarną,
Wszystko mi w zwarciu dojrzałego strąka,
Trumna dla kwiatu, dla ziarna kołyska,
Jawne — i oczom pokazane zbliska.

Trwam, czym już wnikła tam, skąd się nie wraca?
Czym w smutnej pustce długiego wieczora,
Jak do podziemi jeno zeszła Kora,
Dojrzałych ziaren wywczasu strzegąca?

*

Byle wystrzelił znowu pęd do słońca!

*

I wszystko jedno pszenicy, czy ostu,
Byle darzyła się odkwitu praca
I dziw cudowny pełnił się poprostu,
Jak kiedy ręka, wspak, powrotnym gestem
Już przesypaną klepsydrę — obraca...

*

Dlategom była. Pocóż jeszcze jestem?!

MARYLA WOLSKA

KAROL BAUDELAIRE

OBYCZAJOWA STRONA ZABAWEK DZIECIĘCYCH

(MORAL DU JOUJOU)

PRZED wielu laty — przed ilu już nie wiem; sięga to mglistej epoki pierwszego dzieciństwa—matka moja zaprowadziła mię do niejakiej pani Panckoucke. Czy była to matka, żona, czy bratowa obecnego pana Panckoucke? Nie wiem... Pamiętam tylko, że było to w domostwie bardzo spokojnem przy zacisznej ulicy des Poitevins—w jednym z tych domów, gdzie trawa zasnuwa zielenią kąty dziedzińca. Dom ten uchodził za bardzo gościnny i w pewne dni jarzył się od świateł i gwaru. Przypominam sobie, że wiele mówiono o odbytym tam balu maskowym, na którym Aleksander Dumas—naówczas nazywany jeszcze młodym autorem Henryka III — wywołał wielkie wrażenie, wprowadzając pod rękę pannę Elizę Mercoeur, przebraną za pazia.

Pamiętam dokładnie, że pani Panckouke miała na sobie aksamitną suknię, przybraną futrem. Po jakimś czasie odezwała się ona:

— Jest tu pewien mały chłopczyk, któremu muszę coś dać, aby pamiętał o mnie.

Mówiąc to, wzięła mię za rękę i poprowadziła przez kilka sal—wreszcie otworzyła drzwi pokoju, gdzie roztaczał się widok prawdziwie bajeczny. Nie było tam widać ścian poza mnóstwem zabawek. Nawet sufit ginął poza kwietnikiem z zabawek, które zwisały, jak najcudniejsze stalaktyty. Na podłodze z trudem można było znaleźć wązką ścieżkę dla stóp. Był tam cały świat przeróżnych zabawek, od najdroższych do najskromniejszych—od najprostszych do najkunsztowniejszych.

— Oto jest—rzekła owa dama—skarbiec dziecięcy. W budżecie moim stale przeznaczam pewną kwotę na ten cel i, gdy przychodzi do mnie jaki grzeczny chłopczyk, prowadzę go tu, żeby sobie wybrał coś na pamiątkę ode mnie.

Z tą cudowną i olśniewającą szybkością, cechującą dzieci, u których chęć, namysł i czyn zlewają się, że tak powiem, w jedną władzę—czem różnią się od ludzi zdegenerowanych, gdzie refleksja zabija wszystko inne—porwałem natychmiast najpiękniejszą, najdroższą, najbardziej rzucającą się w oczy, najbłyskotliwszą, najdziwniejszą zabawkę. Matka moja wydała okrzyk oburzenia na moją niedyskrecję i stanowczo nie pozwoliła mi wziąć tak drogiego przedmiotu. Chciała, abym wybrał coś najskromniejszego — na co znów ja nie mogłem się zgodzić. W rezultacie w drodze kompromisu poprzestałem na czemś *pośredniem*.

Od tego czasu nieraz pragnąłem spotkać i poznać wszystkich owych *grzecznych chłopczyków*, którzy obecnie, przebywszy niemałą część okrutnego życia, mają już oddawna myśl zajętą czem innem, niż zabawkami—a których beztroskie dzieciństwo czerpało karmię do marzeń w skarbcu pani Panckoucke.

Dzięki temu zdarzeniu, ile razy zatrzymam się przed wystawą sklepową z zabawkami i zapuszczę oczy w zawiłe gromady ich form dziwacznych, w srokaciznę ich kolorów — zawsze staje w mej pamięci dama w aksamitnej sukni, przybranej futrem, jako uosobienie Wróżki zabawek.

Zachowałem zresztą niezmienne przywiązanie i wyrozumowany już podziw dla tego osobliwego snycerstwa, które błyskotliwą swą czystością, oślepiającą świetnością barw, gwałtownością gestu i zdecydowanej sylwety tak odpowiada dziecięcym pojęciom o pięknie. W wielkim magazynie zabawek panuje niezwykłe wesele, czyniące go o wiele powabniejszym od wystawnego mieszczańskiego mieszkania. Wszak skupia się tam całe życie w miniaturze—daleko barwniejsze, bardziej czyste i lśniące, aniżeli życie realne. Są tam ogrody, teatry, piękne stroje, oczy lśniące jak djamenty, policzki ożywione różem, śliczne koronki, powozy, stajnie, obory, pijacy, szarlatani, bankierzy, komedjanci—poliszynele barwni, niby fajerwerki—wreszcie kuchnie — i całe armje dobrze wymustrowanych żołnierzy wraz z kawalerją i artylerją.

Wszystkie prawie dzieci rozmawiają ze swemi zabawkami; zabawki stają się aktorami w wielkim dramacie życia, skupionym w ciemni ich główek. Dzieci ujawniają w swych zabawkach wielką zdolność do abstrakcji i wysoką potęgę wyobraźni, ponieważ bawią się nawet bez zabawek. Nie mówię tu o dziewczynkach, udających panie, składających sobie wizyty, prezentujących sobie wzajemnie urojone dzieci, rozprawiających o tualetach. Te biedne maleństwa udają swe matki: czynią pierwsze ćwiczenia swej przyszłej nieśmiertelnej małostkowości — i napewno żadna z nich nie zostanie mą żoną. Ale dyliżans—nieśmiertelny dyliżans, odegrywany przy pomocy krzeseł: dyliżansem — krzesło, końmi — krzesła, pasażerami—krzesła; i tylko pocztyljon żywy! Cały zaprzęg stoi w miejscu, a jednak pożera z szaloną szybkością urojone przestrzenie... Co za prostota inscenizacji! Czy nie powinno to ściągać rumieńca wstydu na twarze stępiałej publiczności, która wymaga od teatru fizycznej i mechanicznej doskonałości i nie pojmuje, by sztuki Szekspira mogły pozostać pięknemi na tle najprostszej, prymitywnej inscenizacji?

Albo dzieci bawiące się w wojnę! Nie owe dzieci w ogrodzie tuileryjskim, mające prawdziwe karabiny i prawdziwe szable—mówię o dziecku samotnem, które samo jedno dowodzi i prowadzi do boju dwie armje. Żołnierzami moga być korki od butelek, kamienie domina, pionki, kostki—fortyfikacjami będą deski, książki i t. p.—pociskami kulki, lub jeszcze co innego. Będą tam i zabici, i traktaty pokojowe, i łupy wojenne, i jeńcy, i kontrybucje... Zauważyłem przytem, że u pewnych dzieci o zwycięstwie, czy porażce decyduje większa lub mniejsza ilość zabitych. — Kiedyś, wciągnięci w życie powszechne, sami zmuszeni bić, aby nie być bitemi, zrozumieją, że często wynik bitwy jest niezdecydowany i że zwycięstwo staje się prawdziwem zwycięstwem tylko wtedy, gdy staje się, że tak powiemy, szczytem równi pochyłej, skąd już armja potoczy się z góry z cudownym impetem — gdy staje się pierwszym członkiem nieskończenie rosnącej progresji...

Łatwość zaspokajania swej wyobraźni jest dowodem udochowienia wieku dziecięcego w jego koncepcjach artystycznych. Zabawka jest pierwszem wtajemniczeniem dziecka w dziedzinę sztuki, albo raczej jest to dlań pierwsza jej realizacja. Gdy dojdzie ono do wieku dojrzałego, późniejsze udoskonalone realizacje nie wywołają już w jego duszy takich ogni — ani tego entuzjazmu, ani tej wiary.

A nawet poddajcie bliższej analizie ten olbrzymi *mundus* dziecięcy — przypatrzcie się zabawce prostaczej, zabawce pierwotnej, gdzie zadaniem fabrykanta jest zbudować możliwie przybliżony obraz z elementów możliwie najprostszych—możliwie najtańszych: naprzykład płaskiego poliszynela, poruszanego za pomocą jednej nitki; kowali bijących w kowadło; konia i jeźdzca z trzech kawałków: cztery kołeczki to nogi, ogon konia stanowi zarazem gwizdek — niekiedy zaś jeździec bywa przystrojony

w piórko, co już jest wielkim zbytkiem. To zabawki groszowe. — I czy sądzicie, że te proste obrazy wywołują w umyśle dziecka słabsze wrażenie realności, aniżeli owe cuda noworoczne, które są raczej hołdem parazytycznej służalczości, składanym bogactwu rodziców, aniżeli ofiarą na rzecz poezji dziecięcej?

Takie zatem są zabawki ubogich. — Jeśli zdarzy się wam wyjść rankiem z domu z postanowieniem powłóczyć się samotnie po drogach podmiejskich, napełńcie przedtem kieszenie temi drobiazgami i w pobliżu karczem, przy drzewach przydrożnych obdarzajcie niemi napotkane ubogie dzieci. Zobaczycie, jak ich oczy będą się powiększały od podziwu, czy pożądliwości.—Zrazu nie będą śmiały brać — będą wątpiły o swem szczęściu; za chwilę pochwycą w chciwe ręce podarunek i uciekną — jak to czynią koty, które pomykają daleko, aby zjeść otrzymany od was kęs jadła, nauczone niedowierzać ludziom. Te nierujnujące dary dostarczą wam przedniej rozrywki.

Przypomina mi się tu widziana kiedyś rzecz jeszcze prostsza od taniej, groszowej zabawki, ale też o wiele smutniejsza—żywa zabawka.

Przy drodze, za kratą pięknego ogrodu, w głębi którego bielał wspaniały pałac, stało dziecko piękne i wyświeżone, ustrojone w jedno z tych niby to „wiejskich", pełnych kokieterji ubrań. Zbytek, beztroska, codzienne patrzenie na bogactwo czynią owe dzieci tak pięknemi, że zdają się być zrobione z innej gliny, aniżeli dzieci stanu miernego, lub ubogiego. Obok niego leżała porzucona na trawie wspaniała zabawka, równie wyświeżona jak jej właściciel—wylakierowana, wyzłocona, pięknie przystrojona—okryta piórami i błyskotkami. Jednak dziecko nie dbało o swą zabawkę i miało oczy utkwione w coś innego: po drugiej stronie kraty, na drodze, śród ostów i pokrzyw stało inne dziecko, brudne, wątłe—jedno z tych wierutnych „smarkatych", pod nosem których wilgotna, lepka struga powoli toruje sobie drogę przez warstwy brudu i kurzu. Poprzez symboliczne żelazne sztaby ogrodzenia ubogie dziecko pokazywało bogatemu dziecku swoją zabawkę, którą podziwiało ono pożądliwie, jak przedmiot rzadki i nieznany. Otóż tą zabawką, którą mały brudas drażnił, potrącał i potrząsał w klatce drucianej, był żywy szczur.—Rodzice, snadź przez oszczędność, uczynili zabawkę z życia.

Zdaje mi się, że naogół dzieci *panują* nad zabawkami — inaczej mówiąc, ich wyborem kierują wrodzone skłonności i pragnienia — może jeszcze niezdecydowane, nie sformułowane, ale bardzo istotne. Jednak nie śmiałbym twierdzić, że nie bywa odwrotnie—t. j. żeby zabawki nie oddziaływały na dziecko, szczególnie w razie istnienia w niem pewnych literackich, czy artystycznych skłonności. Nie byłoby bynajmniej dziwnem, gdyby naprzykład dziecko tego typu, otrzymując od rodziców przeważnie zabawki teatralne, w celu by mogło samodzielnie przedłużać uciechy teatralnych, czy marjonetkowych przedstawień — otóż nie byłoby wcale dziwnem, gdyby takie dziecko nabrało przyzwyczajenia uważać teatr za najwznioślejszą formę piękna.

Istnieje rodzaj zabawek, które od pewnego czasu zdają się coraz więcej rozpowszechniać, a o których nie wiem, czy mam źle, czy dobrze trzymać. Mówię o zabawkach naukowych. Główną wadą tych zabawek jest— że są drogie. Są one jednak w stanie zająć dziecko czas dłuższy, rozwijając w jego umyśle upodobanie do zadziwiających i cudownych efektów. Stereoskop, który uwypukla nam obraz płaski, należy do tej kategorji. Powstał on kilka lat temu. Fenakistykop, starszy od niego, jest mniej znany*).

Chciałbym wypowiedzieć tu słów kilka o obyczajach, ujawnianych przez dziatwę w stosunku do swych zabawek i o poglądach rodziców na tę żywotną sprawę.

Bywają rodzice, którzy z zasady nie dają dzieciom zabawek. Są to osoby poważne, niesłychanie poważne, które nie zadały sobie trudu zbadania natury ludzkiej — i unieszczęśliwiające zazwyczaj całe swoje otoczenie. Zdaje mi się — nie wiem, dlaczego — że czuć je protestantyzmem. Nie uznają one i nie dopuszczają poetycznego sposobu spędzania czasu. Są to ci sami, którzy gotowi dać ubogiemu franka, ale pod warunkiem, żeby się do niemocy opchał chlebem, ale wpadłyby w święte oburzenie, gdyby ten biedak użył kilku groszy na ugaszenie pragnienia w szyneczku. Gdy pomyślę o pewnej kategorji osób ultra-rozsądnych i antypoetycznych, przez które tyle wycierpiałem, czuję jak nienawiść gryzie i targa moje nerwy.

Inni rodzice czynią z zabawek przedmioty niemej adoracji. Istnieją podobne ubrania — ale te przynajmniej w niedzielę wolno nałożyć; zabawki zas trzeba szanować jeszcze bezwzględniej. Otóż, zaledwie przyjaciel domu złożył swój dar w fartuszku dziecka, już matka, okrutna i oszczędna, rzuca się na nią i kładzie do szafy, mówiąc: To zapiękne na twój wiek; *schowamy to na później, gdy będziesz starszy!*

Jeden z moich przyjaciół żalił się, że nigdy nie udało mu się nacieszyć swemi zabawkami; — bo gdy wyrosłem — dodawał — miałem już co innego w głowie.

Zresztą, bywają dzieci, które czynią to samo z własnego popędu: nie korzystają ze swoich zabawek, chowają je we wzorowym porządku w głębi szaf bibljotecznych, jak w muzeach, i pokazują je od czasu do czasu swym małym towarzyszom, prosząc, *żeby nie dotykali.* Nie miałbym zaufania do tych *dzieci-starców.*

Większość dzieci chce nadewszystko *zobaczyć duszę* zabawki—jedne po upływie pewnego czasu, gdy się już nabawiły, inne *natychmiast.* Szybsze lub powolniejsze pojawienie się tej chęci stanowi o krótszem lub dłuższem życiu zabawki. Nie mam odwagi potępić tej manji dziecięcej: jest to pierwszy objaw skłonności metafizycznych. Gdy chęć ta wejdzie do mózgu dziecka, nadaje jego palcom i paznogciom szczególną, niespokojną ruchliwość i siłę. Dziecko zaczyna bez końca obracać zabawkę, drapie ją, potrząsa, rzuca o ścianę, o podłogę. Co chwila każe jej powtarzać właściwe jej ruchy mechaniczne—niekiedy w odwrotnym kierunku. Naraz cudowne życie ustaje. Dziecko, jak tłum oblegający Tuilleries, czyni najwyższy wysiłek, dostaje się do wnętrza — zwycięża!... Lecz *gdzie jest dusza?*

Tu następuje osłupienie i smutek...

Inne rozbijają zabawkę natychmiast—ledwie się jej przyjrzały; co do tych muszę wyznać, że tajne mi są kierujące niemi pobudki. — Czy ogarnia je gniew zabobonny na widok tych drobnych przedmiotów, naśladujących człowieczeństwo, czy też poddają je pewnego rodzaju próbom masonicznym, zanim przypuszczą je do współżycia dziecięcego?..

— *Puzzling question!*

Przełożył BOHDAN WYDŻGA

---

*) Tu autor podaje dość szczegółowy opis przyrządu, wywołującego złudzenie ciągłości ruchu, a zbudowany na zasadach dzisiejszego kinematografu.

LIBERUM VETO

Błędne koło naszej polityki gospodarczej. — Oczekiwanie zbawcy. — Szakale drożyzny. — Społeczeństwo kozłem ofiarnym. — Polska zagranicą. — *Jupiter tonans.*

BŁĘDNE koło naszej polityki wewnętrznej wiąże się z takich ogniw: obecny Sejm, złożony w znacznej części z warchołów, karjerowiczów i prostaków, niezdolny jest do takiej pracy twórczej, jakiej wymaga ciężkie położenie narodu; ażeby pozyskać lepszy, trzeba zmienić ordynację wyborczą, czego nie dopuszczą stronnictwa lewicowe; a więc Polska musi słabnąć, chorować i jako państwo umrzeć, jeżeli... To „jeżeli" ludzie przedstawiają sobie rozmaicie, ale najczęściej pod postacią jakiegoś gwałtownego przewrotu. Coraz dalej rozszerza się masa pragnących lub nawet widzących jakiegoś męża, „którego imię 44", jakiegoś Mussoliniego, jakiegoś śmiałego sprawcę zamachu stanu. Jego postać już wyobraźnia rozpaczy na tle przyszłości rysuje, tylko jeszcze jego imienia nie pisze. Trudno dłużej wzorem przestraszonych kuropatw wsadzać głowę w śnieg z wiarą, że nikt nas nie widzi. Trzeba odważnie spojrzeć prawdzie w oczy. Ogromna większość społeczeństwa wolałaby najzuchwalszy gwałt, któryby je wyprowadził z chaosu i wydobył z błota, niż obecne zapadanie się w coraz większy odmęt i w coraz głębsze bagno. Ogół zdaje się wołać: niech ktokolwiek ujmie władzę w swoje ręce, aby tylko one były mocne i czyste. Monarchiści—coraz liczniejsi—twierdzą, że zbawieniem może być tylko król; republikanie — że dyktator, który rozpędziwszy hołotę, okiełznawszy warchołów, zdusiwszy szkodników, oddałby władzę światłej i uczciwej reprezentacji narodu; chłopstwo nie proponuje ani formy ustroju państwowego, ani kandydata do steru, żąda tylko ładu, prawa i spokoju dla pracy. Zdawałoby się wobec tego ogromnego chóru i potężnego głosu, że jakiś uzdrawiający przełom wkrótce nastąpić musi. Złudzenie! My już nieraz widzieliśmy w historji naszej takie chóry i słyszeliśmy takie głosy. Nic one nie pomogły. Jak dawniej, tak i teraz nieliczne, ale zuchwałe kohorty partyjników, połączone z bandami „kasiarzów", rozpruwających i okradających kasy państwowe, udaremnią wszelką reformę. Niewątpliwie nowy minister skarbu uporządkowałby nasze finanse, ale mu na to nie pozwolą stróże „zdobyczy społecznych"; niewątpliwie minister oświaty przekształciłby nasze szkolnictwo, ale mu na to nie pozwolą nauczycielskie związki zawodowe. I tak dalej. Syzyfy będą wtaczali na górę kamienie, które przy jej wierzchołku wymkną się im z rąk i spadną na dół.

Spadł ze swej wyżyny złoty polski. W niezliczonych norach przemysłu i handlu czają się ukryte szakale, czyhając na najmniejsze osłabienie naszej waluty, ażeby zaraz wyskoczyć i wbić w spożywców swoje drożyzniane pazury. Tym razem osłabienie trwało bardzo krótko, ale drożyzna długo. Bo te drapieżce podwyższają ceny natychmiast po podwyżce kursu dolara, ale zniżają je powoli i opornie albo nawet nie zniżają wcale po jego zniżce. Chociaż wyrusza na polowanie gromada agentów urzędu do walki z lichwą, chociaż oni nałowią w swe sieci stada łupiezców, nieschwytani prowadzą dalej swój rabunek. Nałożoną bowiem karę pieniężną pokryją łatwo zyskiem, krótki areszt odsiedzą, a zalecanej przez niektóre głosy opinji szubienicy wcale się nie boją. Wierzą, że nasze tolerancyjne prawa są surowe tylko dla Don Kiszotów uczciwości.

Jeden z dzienników dał ostrą naganę społeczeństwu za przyczynienie się do obniżki złotego tłumnem wycofywaniem wkładów z kas oszczędności, zakupywaniem dolarów i zapasów żywności. Nie pierwszy to raz biedne społeczeństwo staje się kozłem ofiarnym cudzych grzechów. Nielitościwi kaznodzieje, czego wy od niego chcecie? Ażeby ono, nauczone smutnem doświadczeniem na przedwojennych wierzytelnościach hypotecznych, bonach skarbowych, pożyczkach państwowych, listach zastawnych, na rozmaitych przewartościowaniach, przerachowywaniach, waloryzacjach, konwersjach i innych sztukach rządowo-finansowych—miało pewność, że jutro nie będzie obdarte z ostatnich oszczędności, ażeby miało zaufanie do jakiejkolwiek instytucji finansowej, do jakiegokolwiek znaku pieniężnego krajowego? Ten—jak go pięknie nazywacie — „run" na kasy i banki, to zrozumiały popłoch wielokrotnie ograbionych i oszukanych biedaków, ratujących swoje złotówki, to ucieczka pożarników z podpalanego ciągle domu. Zalecają „spokój i niepoddawanie się hypnozie", karcą nieuzasadnioną trwogę —kto? Pięciuset ustawodawców, pobierajacych miesięcznie po 1000 zł., kilkaset tysięcy urzędników, którym najmniejszą podwyżkę drożyzny usuwa „automatycznie" podniesiony mnożnik pensji, niezliczone kupy pasorzytów skarbu państwowego, obżerających go w niepotrzebnych instytucjach na niepotrzebnych posadach. Ci mogą być spokojni i nie poddawać się hypnozie strachu, mogą z uśmiechem przyjmować wszelkie alarmy, wszelkie sygnały pożarowe, bo mieszkają nie w smolnych, ale w żelaznych domach. W październiku sama Warszawa pogrzebała 139 samobójców, którym broń, truciznę lub sznur podała nędza. Czy ten pomór z rozpaczy, ta tłumna ucieczka z życia nie jest dostateczną odpowiedzią na morały, prawione społeczeństwu?

Czeski minister spraw zagranicznych miał w Londynie odczyt, spleciony zręcznie z ogólnych wywodów politycznych i reklamy dla swego narodu. Niemcy, bolszewicy rosyjscy, Żydzi niezmordowanie obsiewają opinję Europy i Ameryki swojem propagandowem ziarnem. My poprzestajemy na wywozie i przywozie fig słodkiego zadowolenia p. Skrzyńskiego. To smuci wielu patrjotów, narzekających, że Polskę obnoszą po zagranicy trzy agencje: niewiadomość, kłamstwo i potwarz. Niewatpliwe jest to wielka szkoda. Ale czy ona nie byłaby większa, gdybyśmy sami o sobie dostarczali światu całą prawdę? Zapewne, zna on ją bez naszej pomocy w tych szczegółach, które pragnęlibyśmy ukryć, a które on zdobywa swojemi sposobami—jak o tem przekonywa odmową udzielenia nam większych pożyczek, ale nie możemy pomnażać jego wiedzy w tym kierunku. Byłoby to nierozsądne i niebezpieczne, gdybyśmy np. rozesłali za granicę dokładne życiorysy niektórych ministrów, dokładne rachunki z przedsiębiorstw państwowych, dokładne pozycje i sumy wydatków na podróże dyplomatyczne, dokładne wykazy urzędów i urzędników zbytecznych i t. d. Szeroko rozpostarte po świecie rzetelne informacje o Polsce są bardzo pożądane, ale zanim je zorganizujemy, należy przedtem wykonać kilka niezbędnych operacyj:

1) Znieść ministerja opieki społecznej, robót publicznych i reform rolnych, zamieniwszy je na wydziały przy innych ministerjach.

2) Zmniejszyć liczbę posłów i ich pensje do połowy.

3) Skasować wszystkie departamenty, wydziały i posady, otworzone dla partyjników, krewniaków i przyjaciół.

4) Ograniczyć liczbę jeżdżących za paszportami dyplomatycznemi na koszt państwa.

5) Zredukować wydziały prawne przy ministerjach.

6) Obsadzić wszystkie stanowiska rządowe właściwymi ludźmi na właściwych miejscach.

7) Usunąć złodziejów z przedsiębiorstw państwowych.

8) Nadać Izbie Kontroli i Komisji oszczędnościowej prawo nieskrępowanego badania wszelkich aktów administracji.

9) Uwolnić rząd i społeczeństwo od samowoli i gwałtu związków zawodowych,

10) Zbudować dwa baraki kaźne i dwa rzędy szubienic: dla paskarzów i przestępców rządowych.

Wtedy możemy z niewątpliwem powodzeniem reklamować Polskę za granicą i otrzymać wielkie długoterminowe pożyczki na dogodnych warunkach.

Po napisaniu tych ostatnich słów, przeczytałem mowę ministra skarbu, p. Zdziechowskiego. Jest to pierwsza mowa gospodarza państwa polskiego, którą z uwagą i oklaskiem wysłuchała nietylko jakaś partja, nietylko Sejm i Polska, ale cały świat kultury. Dla nas była ona szeregiem błyskawic i piorunów, po których rozdarły się ciężkie chmury, odsłoniły niebo a na niem słońce, wskrzeszające zamarłą nadzieję ratunku. Takie mowy bywają u innych narodów rozplakatowane w całym kraju. A u nas?

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

STOSUNKI POLSKO-ŁOTEWSKIE

ZESPÓŁ „Reduty", zanim będzie mógł rozpocząć w Wilnie systematyczne przedstawienia w odnawianym wciąż jeszcze Teatrze Wielkim, jeździ po miastach prowincjonalnych ziem wschodnich i wystawia tam „Wesele", „Przepióreczkę", „Nowego Don Kichota" i t. d. Co do wyboru sztuk robili niektórzy pewne zastrzeżenia, nikt jednak nie wątpi, że wędrówki „Reduty" mają duże znaczenie kulturalne.

W listopadzie „Reduta" powzięła śmiałą myśl przekroczenia granic państwa i dania kilku przedstawień na Łotwie. Projekt spotkał się z życzliwem przyjęciem rządu i społeczeństwa łotewskiego i został urzeczywistniony w ostatnich dniach listopada i pierwszych grudnia. Występy w Rydze, Dynaburgu i Rzeżycy były dla miejscowej ludności polskiej w ciężkim jej żywocie wielkiem świętem.

Czytając sprawozdania z pobytu „Reduty" na Łotwie, zwłaszcza barwny opis uczestniczki wycieczki p. Hel. Romer Ochenkowskiej w „Kurjerze Wileńskim", mile uderzeni jesteśmy niezmiernie serdecznem i owacyjnem przyjęciem naszego zespołu dramatycznego przez władze łotewskie, przez artystów miejscowych i przez wszystkie sfery społeczeństwa, zarówno rdzennie łotewskiego, jak i „mniejszościowego".

Cały czas pobytu „Reduty" był jedną wielką manifestacją przyjaźni polsko-łotewskiej; symbolem jej niejako były splatające się wciąż ze sobą hymny narodowe: polski i łotewski. I zdawać się mogło, że rozwiały się wszelkie nieporozumienia i zatargi, że odżywają na nowo te chwile, kiedy żołnierze polscy i łotewscy zdobywali dla Łotwy Dynaburg i Letgalję, czyli dawniej tak zwane Inflanty Polskie.

Tem boleśniejszego doznaliśmy rozczarowania, gdy z otrzymanego dopiero co numeru jedynego polskiego pisma na Łotwie, „Dwutygodnika Polskiego", dowiadujemy się, iż w życiu powszedniem Polaków łotewskich trudnoby znaleźć ech owych świątecznych manifestacyj.

Zaraz w artykule wstępnym znajdujemy cytatę z wpływowego pisma łotewskiego, w której czytamy, że jak wszystkim wiadomo, Polska jest największym wrogiem Łotwy. A dalej na każdej niemal stronicy pisma znajdujemy jakąś wiadomość, która brzmi, jak gryzące szyderstwo, w zestawieniu z echami pobytu „Reduty".

Ksiądz Szyksnel, który stanął na czele listy polskiej podczas ostatnich wyborów do sejmu łotewskiego, miał cały szereg przykrości i szykan ze strony katolickiego duchowieństwa łotewskiego z arcybiskupem na czele. Na całej Letgalji Polacy traktowani są gorzej, niż inni inoplemieńcy i z ust polskich wyrywa się bolesny okrzyk, że Polak, aczkolwiek jest lojalnym obywatelem łotewskim, nie może nawet kupić dla siebie kawałka ziemi.

Na ostatnich już stronach numeru znajdujemy korespondencję z pow. iłłuksztańskiego, z owych słynnych 6 gmin na lewym brzegu Dźwiny, które wchodziły już w skład państwa polskiego, lecz w r. 1920, po odparciu bolszewików, zostały faktycznie pozostawione Łotwie. I oto kilka już lat trwa owo kwestjonowane przez nas posiadanie, ludność miejscowa, przeważnie polska, coraz mniej wie, czy ma się uważać za obywateli Polski. Władze szykanują Polaków na każdym kroku i nawet założenie szkoły polskiej napotyka na nieprzezwyciężone trudności.

Nasi ministrowie i politycy trwają w jakiejś niezrozumiałej bierności. A przecież te 6 gmin, które są bez znaczenia dla Łotwy, dla nas są bardzo potrzebne, jako łączące nas z Dźwiną. A przecież ta niezałatwiona sprawa wywołuje wciąż zadrażnienia i nieporozumienia. Zwłaszcza chwila ożywienia uczuć przyjaźni wzajemnej powinna dać hasło do zlikwidowania tej bolesnej sprawy.

HŁ.

DZIWNE STANOWISKO

PRASA polska zwróciła dość baczną uwagę na niedawno odbyty „Kongres Młodzieży Wszechpolskiej" i na jego uchwały. I nic dziwnego. „Młodzież wszechpolska" zajmuje bardzo wybitne, wprost górujące stanowisko śród młodzieży akademickiej, a ta ostatnia da przecież niebawem kierowników narodu, następców dzisiejszego pokolenia. Chcielibyśmy poznać duchowe oblicze tych przyszych kierowników i przewidzieć na tej podstawie te zmiany, jakie wprowadzą oni do dziedzictwa, które im pozostawimy.

Zabierajacy głos w tej materji nie zawsze jednak pamiętają, że kongres młodzieży nie był zjazdem polityków czynnych, mających wpływ na bieg spraw bieżących, na stanowisko rządu, lub uchwałę Sejmu, że przeto uchwał jego nie można oceniać z punktu widzenia oportunizmu politycznego. W uchwałach zjazdu młodzieży z natury rzeczy większą rolę odgrywać będą względy teoretyczne, niż praktyczne, zaś hasła, rzucane w środowisku młodzieży, obchodzić muszą uczestników daleko bardziej, niż wszelkie deklaracje ministrów naszych w ogólności, a ministrów spraw zagranicznych w szczególności.

Nie zdaje sobie z tego sprawy p. L. St., który w artykuliku p. t. „Dziwne uchwały" w Nr 286 „Czasu", uznając, że wielu uchwałom Kongresu Młodzieży Wszechpolskiej nic zarzucić nie można, protestuje przeciwko dwu, które jakoby „świadczą o pewnym zamęcie w umysłach młodego pokolenia".

Pierwsza z tych uchwał zwraca się przeciwko „szerzonym ostatniemi czasy hasłom pacyfistycznym", gdyż „osłabiają (one) czujność narodu; a tem samem zdolność narodu do walki i do życia wogóle". Autor dość naiwnie sądzi, że uchwała ta wymierzona jest przeciwko oświadczeniom p. min. Skrzyńskiego, o innej bowiem propagandzie idej pokojowych „nie słyszał". I zwraca się do młodzieży z pytaniem, czy zdaje sobie sprawę z katastrofalnych skutków polityki przeciwnej pokojowi, gdyby ona właśnie wzięła górę.

Druga uchwała, której, zdaniem p. L. St., nie można pominąć milczeniem, brzmi: „Młodzież wszechpolska stwierdza, że granica Rzeczypospolitej na Zachodzie jest niesprawiedliwa i niezgodna z interesami państwa. Zadaniem polityki polskiej powinno być dążenie do rewizji tej granicy w myśl interesów naszego państwa". Autor, odczytawszy tę uchwałę, wpadł wprost w oburzenie i pyta: „Ciekawa rzecz, skąd młodzież wszechpolska zaczerpnęła natchnienie do takiego wyskoku myślowego".

W tem pytaniu p. L. St., jest niewątpliwie dużo naiwności, zapominającej, że uchwałę tę powziął kongres młodzieży wszechpolskiej, a nie jakiegoś czynnego stronnictwa politycznego. Ale jest i coś więcej, jest jakaś reminiscencja dawnej stańczykowskiej ultra-lojalności, pod

zmienionym adresem skierowanej. Dla p. L. St. powzięcie takiej uchwały jest „wyskokiem myślowym", do którego natchnienia zaczerpnąć mogła młodzież jedynie z czyjegoś zbrodniczego podszeptu.

A jednak zastanówmy się tylko przez chwilę. Czy mogła sprawa granicy Rzeczypospolitej na Zachodzie nie narzucać się umysłom radzącej na Kongresie młodzieży, kiedy nietylko całe społeczeństwo niemieckie, ale nawet mężowie w Niemczech u steru władzy stojący oświadczają, że granica wschodnia Rzeszy musi uledz rewizji. Ci ostatni dodają tylko dla zachowania pozorów przyzwoitości słówko, że rewizję tę osiągnąć pragną, czy też spodziewają się, na drodze pokojowej.

Tym zakusom niemieckim przeciwstawiła cała Polska, zarówno nieurzędowa, jak i urzędowa, oświadczenie, że granic swych bronić będzie do ostateczności. Czy mogła jednak młodzież poprzestać na na zsolidaryzowaniu się z tem oświadczeniem? Czy mogła zapomnieć, że obecna nasza granica zachodnia, czemu zapewne i p. L. St. nie zaprzeczy, pozostawiła za kordonem ziemie o zwartej większości polskiej i odbiegła znacznie od tej granicy, jakiej domagali się w interesie naszego państwa przedstawiciele nasi na Konferencji pokojowej. I czyż trzeba było koniecznie aż czyjegoś podszeptu, by nieuzasadnionym pretensjom niemieckim przeciwstawić słuszne żądanie polskie? Kto wie, czy, gdybyśmy wszczęli dochodzenie w tej sprawie, nie doszlibyśmy do przekonania, że głównym winowajcą jest Mickiewicz, który wołał: „Gwałt niech się gwałtem odciska!"

Dziwne zaiste stanowisko wobec uchwał Kongresu Młodzieży Wszechpolskiej zajęli p. L. St. i redakcja „Czasu".

PRZEGLĄD POLITYCZNY

DEKLARACJA P. SMAL-STOCKIEGO

PRZED kilku dniami pojawiła się w dziennikach wiadomość o fakcie ważnym, który w przyszłości doniosłe może sprowadzić następstwa. Faktem tym jest list prof. Smal-Stockiego do ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego prof. Stanisława Grabskiego. Prof. Smal-Stocki oświadcza w liście powyższym w imieniu „b. austrjackich profesorów uniwersytetu, skupionych obecnie na uniwersytecie ukraińskim w Pradze Czeskiej, jak również w imieniu przedstawicieli Tow. Naukowego im. Szewczenki we Lwowie, iż „stoją oni na stanowisku państwowości polskiej" i wyrażają „gotowość szczerej lojalnej współpracy z rządem dla dobra Państwa". Jednocześnie prof. Smal-Stocki zaznacza, iż wspomniane gremjum uczonych „oddaje się jednomyślnie do dyspozycji" ministra oświecenia.

Śmiało rzec można, iż niema Polaka, któryby wiadomości tej nie przeczytał ze szczerem zadowoleniem. Żaden Polak nie stał nigdy na stanowisku *trwałości* antagonizmu między polską i ruską ludnością Rzeczypospolitej i utrzymania tego antagonizmu nie pragnął. Nie było też w Polsce wrogiego stosunku do kulturalnych odrębności ludności ruskiej, ani jakichś planowych dążeń do ich zniszczenia. Przeciwnie, do odrębności tych myśl polska z reguły odnosi się z sympatją, widząc w nich pierwiastki, znakomicie mogące się przyczynić do wzbogacenia ogólnego skarbca polskiej kultury. Źródłem konfliktu było stawianie kwestji ruskiej w płaszczyźnie *politycznej*, przeciwstawianie jej *polityczne* polskim interesem narodowym i państwowym. Wszak dla polityków ruskich nawet kwestja ruskiego szkolnictwa akademickiego była dotąd przedewszystkiem kwestją polityczną i pod tym kątem stale była przez nich rozpatrywana.

Deklaracja p. Smal-Stockiego, choć nie zawsze w najszczęśliwszy sposób sformułowana, budzi jednak nadzieję, iż na przyszłość stanowisko inteligencji ruskiej w tych sprawach ulegnie pożądanej zmianie. Opinja polska chce wierzyć, iż oświadczenie uczonych ruskich o gotowości „szczerej lojalnej współpracy dla dobra Państwa" nie jest posunięciem taktycznem, że istotnie dokonane zostało szczerze, bez ukrytych planów, bez *reservatio mentalis*. W liście swym prof. Smal-Stocki oświadcza wyraźnie, że „decyzję w tym kierunku idącą powzięli nasi uczeni po długiej i gruntownej rozwadze i w pełni świadomi odpowiedzialności, jaką zaciągają wobec własnego sumienia".

Deklaracja p. Smal-Stockiego niewątpliwie pociągnie za sobą dalsze konsekwencje. Pierwszą z nich jest ogłoszony w prasie komunikat, iż min. St. Grabski zwołuje na dzień 4 stycznia konferencję komisji organizacyjnej szkolnictwa akademickiego z językiem wykładowym ruskim. Do komisji zaproszeni zostali wybitni uczeni polscy i ruscy.

Trudno przewidzieć, jak potoczą się obrady tej komisji, i do jakich doprowadzą wyników, jeden wszakże postulat wydaje się z polskiego punktu widzenia niewątpliwy: przyszłe szkolnictwo akademickie z jezykiem ruskim, w jakiejkolwiek powstałoby formie, w żadnym razie doprowadzić nie może do oddzielenia i wyodrębnienia młodzieży ruskiej od polskiej, do pogłębienia istniejącego między niemi przedziału. Idea usuwania antagonizmów przy pomocy najściślejszego współżycia i współpracy, konsekwentnie, w myśl „ustaw językowych", przeprowadzona w planie szkolnictwa niższego i średniego, nie może być spaczona ani zlekceważona w szkolnictwie akademickiem. Jasne jest przecież, iż projektowane szkolnictwo akademickie z językiem ruskim winno być nowym czynnikiem wewnętrznej spoistości Rzeczypospolitej, nie zaś klinem, któryby tę spoistość rozsadzał.

IGN.

WYCHOWANIE NARODOWE

II. O NACZELNEM ZADANIU GIMNAZJUM POLSKIEGO.

SKORO nie ulega wątpliwości, że obecne gimnazjum nie może być zachowane, najwyższą troską winno być ustalenie zasady podstawowej, hasła, pod jakiem reforma ma być podjęta i przeprowadzona. Bez takiej zasady nie stworzy się dzieła jednolitego i harmonijnego; na chwiejnej, niepewnej podstawie nie zbuduje się nic trwałego. Pogląd, którego bronię, obiera za punkt wyjścia zasadę następującą: zadaniem naczelnem gimnazjum polskiego jest *pokierowanie wychowaniem* chłopców i dziewcząt w duchu narodowym, zgodnie z potrzebami państwa. Dla wcielenia w życie tej zasady wydaje mi się konieczne przedewszystkiem: 1-o, postawienie na należytym poziomie wyćwiczenia sprawności cielesnej (zahartowanie i wszechstronny rozwój organizmu, wyrobienie zręczności, siły, szybkości orjentacji, zaradności życiowej); 2-o, gruntowna reforma nauczania, polegająca na radykalnem zerwaniu z dążeniem do encyklopedyzmu, oraz z traktowaniem gimnazjum, jako szkoły przygotowawczej do uniwersytetu lub politechniki; 3-o, ujęcie w konsekwentny system wszystkich środków wychowawczych, jakiemi szkoła może rozporządzać i stosowanie tych środków w sposób ciągły, nieprzerywany przez dostatecznie długi okres czasu. Tu zajmę się punktem drugim, jako najbardziej spornym.

Celem nauczania gimnazjalnego winno być: a) formalne wyćwiczenie umysłu; b) zapoznanie z metodą pracy naukowej na bardzo elementarnych zagadnieniach, opracowanych wyczerpująco metodami laboratoryjnemi i seminaryjnemi; c) danie pozatem takich tylko najbardziej podstawowych wiadomości, bez których istotnie nie może się obejść żaden Polak, mający działać jako świadomy obywatel; wiadomości te należy dać w ujęciu

ścisłem i mocnem, opartem o zwięzłe podręczniki—konspekty. Osiągnięcie wskazanych celów wymaga całkowitego przerobienia programów, obecnie niesłychanie przeładowanych. Należy opracować je odrębnie dla szkół męskich, odrębnie dla szkół żeńskich, rozpoczynając od skreślenia bardzo wielu rzeczy, obecnie uważanych za potrzebne. Ten punkt ostatni wyda sie herezją tym fachowcom, którzy „pukają do wrót szkoły średniej“, znosząc wciąż nowe zdobycze i wiadomości. „Jakto!—zawoła ten lub ów z uczonego grona specjalistów — miałżeby uczeń nie wiedzieć o tem, lub owem? Nie znać rzeczy tak podstawowych, tak elementarnych?!“ Ale zastanówmy się, do czego prowadzi uleganie takim głosom. Napewno nie do poznania, choćby w zarysie, całokształtu wiedzy współczesnej! Przysłuchajmy się egzaminom dojrzałości: z ust abiturjentów usłyszymy przeważnie tysiące wiadomości i wiadomostek, najczęściej śmiesznie poprzekręcanych, nie powiązanych ze sobą, wydobytych zresztą z pomocą egzaminatorów. Zauważymy też, że abiturjenci nie umieją się wysławiać, nie umieją zbudować porządnie ani jednego zdania. Co pozostaje z tych żałosnych strzępów „wiedzy“ za pół roku, za rok, za lat dziesięć?... Bezpośrednio niemal po maturze okazuje się, że świeżo upieczony słuchacz wyższej uczelni musi się w zakresie swej specjalności uczyć wszystkiego od początku, od „ABC“; profesor często zaczyna od tego, że każe mu zapomnieć wszystko, czego się uczył w szkole średniej. Powiedzmy więc sobie wyraźnie, że gimnazjum nie może uczyć poszczególnych nauk, bo wobec ich rozrostu i współczesnych wymagań ścisłości naukowej jest to całkiem niemożliwe, może tylko udzielić pewnego minimum wiadomości, wiążąc je, ile się da, ale nie kusząc się o budowanie systematów, nie filozofując z kilkunastoletniemi chłopakami (v. program geometrji), nie pozwalając im na niewczesne mędrkowania, lecz wymagając porządnej, uczciwej pracy (także uczenia się na pamięć, gdzie to potrzebne).

Nasz wychowanek napewno nie będzie miał nigdy pretensji, że nie słyszał o tem lub owem, jeżeli dopomożemy mu do zdobycia zdrowia moralnego i fizycznego, jeżeli wygimnastykujemy mu umysł, uczynimy zeń, jednem słowem, dzielnego człowieka. Nasz wychowanek wielu rzeczy nie będzie wiedział, ale powinien niektóre rzeczy umieć porządnie zrobić. Czy nie byłoby dobrze np. gdyby młody obywatel umiał kierować samochodem? Czy też może lepiej, żeby tego nie umiał, lecz zato wiedział, co to jest archaeopteryx? Zamiast nauczania najrozmaitszych „przedmiotów“, uczmy go liczyć, mierzyć, ważyć, mówić i pisać poprawnie i z sensem, słuchać z uwagą, czytać ze zrozumieniem, uczmy obserwować, zastanawiać się, wyciągać wnioski. Tak uzbrojony, da sobie radę z zagadnieniami życia praktycznego, poradzi sobie też bez trudu z kursem szkoły wyższej. Jej zadaniem dać mu do rąk wiedzę specjalną, fachową; natomiast w gimnazjum materjał nauczania nie powinien być celem, lecz środkiem.

Jest rzeczą zrozumiałą, że niepodobna rozwijać tu szerzej myśli rzuconych; jedynie na łamach czasopism specjalnych znalazłoby się miejsce właściwe dla wielu interesujących szczegółów. Możnaby np. udowodnić, że tylko przy zasadniczej zmianie poglądu na zadanie szkoły średniej dałoby się osiągnąć pełną korzyść ze stosowania nowych metod, że tylko pod tym warunkiem dałaby się konsekwentnie przeprowadzić piękna zasada podstawy wychowawczej (dydaktycznej), którą program ministerjalny głosi z takim naciskiem. W szkole dzisiejszej, pełnej nerwowego pośpiechu, narzekającej na przeciążenie, niema na nią miejsca. Inaczej działoby się w szkole, o której marzymy...

BOLESŁAW GAWECKI

NAUKA I LITERATURA

„POŁÓW“

UTALENTOWANA poetka J. K. Iłłakowicz wydała nowy zbiór poezyj p. t. „Połów“. Dość zaczepić wzrokiem utwór tej poetki, aby go przeczytać do końca. To samo z całą książką. Wciąga czarem swego słowa. Człowiek się błąka za autorką, jak za błędnym ognikiem, który szybko zmienia miejsce. Nie wiadomo zrazu, co nią powoduje, chyba kaprys. Naprawdę chyba tylko płacze; inne rzeczy robi, żeby zadziwić. Ma coś z genjalnej dziewczynki, której wszystko wolno, bo zniewala wdziękiem. Rzekłbyś: wrażliwość wiewiórki i świegotliwość ptaka znalazły w niej wyraz ludzki, ściślej mówiąc — kobiecy. Robi wrażenie, że twórczość nic jej nie kosztuje, że wszystko improwizuje, muzykalnie błądząc po klawiaturze przeżytych nastrojów i spostrzeżeń. Jakby nic nie czytała: motywy ma własne. Dużo słów a wszystkie potrzebne; każde jest jakimś klawiszem pod biegłą ręką wirtuozki. Czysta jest, liryzmu się wstydzi, jak nagości; a rada robi z siebie „straszydlaka“, jakby się bawiła z dziećmi. Nie tyle szuka oryginalności, ile w nią wpada ze strachu przed banalnością; woli zażartować ze swego uczucia, niżby miała posłużyć się patosem. Doskonale opanowana w wyrazie, boi się nie tylko dużych słów, ale i wielkich idej. Brawuruje w świecie drobnych wzruszeń, które rozrzuca, jak kwiaty, znikąd nie pochodzące, jakby się bała, żeby wzruszenia razem zebrane i dopowiedziane do końca, nie eksplodowały, albo żeby nie zatruły jej na śmierć.

Przy bliższem wejrzeniu staje się widocznem, że jest to istota z podwójnem denkiem. Na spodzie chowa swoje człowieczeństwo i zapiera go się:

> Wiem tylko z serca, co się w męce kruszy,
> Że nigdy, nigdy nie zdobędę duszy,
> Że nigdy, nigdy, nigdy nie będę człowiekiem.

Pierwiastkiem dramatycznym w duszy poetki zdaje się być nieustalona samowitość, z tej dwoistości pochodząca. Sama nie wie, czy ma być sobą, czy jest tem, co światu z siebie daje, czy wie o sobie ze świadomości swojej, czy z lustra.

Życie wewnętrzne wszakże silniejsze jest od pozy i zniewala poetkę do wyznań głebokich, które ją podwójnie kosztują — że są prawdziwe i że je wypowiada. Brawurę zawiodły siły ludzkie, szuka uspokojenia w ciszy uczuć religijnych. Czuje się jak łań zgoniona, a od razów i pieszczot życia jest „jak płomień i próchno“.

> Zasłaniają mi wodę i chmury
> Wielkie skrzydła szumiące kruka,
> Śmierć przechyla mi głowę na ramię
> I ustami ust moich szuka.

Błaga Archanioła, aby zabrał od niej tłumiony pod fałszywem dnem i „ocalony płomień“ duszy, dla którego w życiu nie mogła znaleźć zastosowania:

> Weź płomię moje,
> Weź miłość moją,
> Bo tu się kończę ja, a zaczyna się Bóg!

Szczęśliwi, którzy, by widzieć Boga, nie szukają śmierci, którzy umieli naśladować Boga-Człowieka, mieli go w sobie i żyli bez rozdarcia—całą duszą.

Z. W.

HELLENIZM SŁOWACKIEGO

KSIĄŻKA prof. Sinki na ten temat *) jest drugiem wydaniem rozprawy, drukowanej przed 15-laty w 47 tomie Rozpraw Wydz. Filol. Akad. Umiej. w Krakowie. W opracowaniu obecnem autor poczynił kilka zmian i przeróbek, natury raczej technicznej, niż istotnej, a mianowicie wplótł w tekst dwie odrębne prace swe: „Powinowactwo klasyczności i romantyczności" i „Antyk w Królu-Duchu". Sam zaś główny zrąb pracy pozostał prawie niezmieniony „ile, że tym tematem nie zajmował się po mnie (mówi prof. Sinko) żaden specjalista". Powód niewystarczający. Po pierwsze, równocześnie z prof. Sinką i po nim przyczynki o klasycznych upodobaniach i szczegółach w poezjach Słowackiego pisało kilka autorów, jak Art. Górski, Stan. Witkowski, W. Hahn, a nadewszystko St. Szneider, którego prace niesłusznie Sinko zbywa pogardliwem milczeniem. Powtóre po r. 1909 niektóre dzieła Słowackiego wyszły w opracowaniach ściślejszych od wyd. lwowskiego Gubrynowicza i Hahna (np. pierwszy autentyczny tekst „Króla Ladawy",wydany przez Kridla), więc należało do nich zajrzeć i poprawić błędy w cytatach. Wreszcie sam autor powinien był poprawić kilka własnych omyłek. Do takich należy przedewszystkiem (powtórzona za Słowackim) wzmianka o żelaznym byku tyrana Djonizjusza, gdy tymczasem twórcą spiżowego byka, używanego do torturowania, był tyran Falarys z Agrygentu. „Duch kary i zemsty Apoljon", zesłany przez Boga Nowogrodzianom (według słów archimandryty w „Księciu twerskim") nie jest to bożek Apollo, ale zjawisko z Apokalipsy św. Jana. Fałszywe jest też twierdzenie prof. Sinki, że Słowacki raz tylko wspominał o Lamartinie, mianowicie w przedmowie do „Ojca zadżumionych"; wspominał go i częściej, dość wymienić VII pieśń „Podróży na Wschód", gdzie są aż dwie wzmianki o tym poecie. Tak samo nie jest zgodne z prawdą twierdzenie, jakoby Słowacki dopiero od Platona przejął wiarę w wędrówkę dusz; wszak już w „Godzinie myśli" jest cały wykład o metempsychozie, wzięty ze Swedenborga. Naciągane jest przypuszczenie, że w „Beniowskim" porównanie winogron do piersi Afrodyty jest wzięte z Lukrecjusza(??); porównanie podobne znane było w poezji polskiej — dość wspomnieć wiersz Mickiewicza „Na pokój grecki".

Te usterki nie zmniejszają jednak uznania dla pracy prof. Sinki, która jest pozatem bardzo sumienna i skrzętna—czasem aż prawie do przesady. Gdy widzimy tak ogromną ilość zestawień różnych analogicznych miejsc w poezjach greckich i utworach Słowackiego, zdaje się nam niekiedy, że Słowacki musiał chyba przeczytać prawie tyle dzieł literatury starożytnej, co sam Sinko, i mieć taką pamięć, jak ten niebywały erudyta. Raz jednak okazuje się, że czasem lepszą pamięć miał Słowacki; albowiem w przypisku do Lambra (który Sinko przeoczył) przyznaje się, że wiersze o Ipsarze „podobnej córce Tantala" wziął z Antygony Sofoklesa—Sinko zaś zgoła niepotrzebnie zamiast Sofoklesa cytuje Owidjusza.

Ale czy takie tropienie wpływów i reminiscencyj nie jest pracą jałową i nudną, a zresztą czy nie jest poniżaniem wielkiego poety? Bynajmniej. Po pierwsze prof. Sinko opowiadać umie zajmująco, często nawet z humorem, a następnie umie ze swego tematu wyciągnąć cenne wnioski ogólniejsze lub uboczne; tak np. zawdzięczamy mu ciekawe wiadomości o studjach szkolnych poety, o poglądach na klasyczność grecką w epoce walki klasycyzmu z romantyzmem, a wreszcie twierdzenie, że nasi poeci romantyczni byli lepszymi znawcami klasyczności od t. zw. klasyków. Porównanie zaś dzieł naszego wieszcza z dziełami pisarzy starożytnych nie jest ujmą dla Słowackiego, jeżeli on sam niejednokrotnie przyznawał się do wpływu, jaki na niego wywarły poematy Homera, tragedje attyckie, pisma Platona, Hezjoda, Plutarcha. „Iljada" była od dzieciństwa do schyłku życia najulubieńszą jego lekturą, a Homer czy Platon „rewelatorem". To współżycie duchowe z genjuszem Hellady, będące znamieniem całej twórczości Słowackiego, świadczy chlubnie o wysokim poziomie intelektualnym i artystycznym naszego wieszcza, a prawdziwą dlań chwałą jest, że polski poeta wielkością talentu dorównał swym ukochanym mistrzom. Taką właśnie świadomość osiągamy po przeczytaniu pracy prof. Sinki.

JÓZEF BIRKENMAJER

*) Tadeusz Sinko. Hellenizm Juljusza Słowackiego, Warszawa 1925. Instytut wydawniczy Bibljoteka Polska.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Zrzeszenie Profesorów i Docentów Szkół Akademickich w Warszawie nadsyła nam odezwę tej treści:

„Życie naukowe, któremu patronuje Ministerstwo W. R. i O. P. nie zamyka się w granicach szkół akademickich. Nie dziw przeto, iż budżet roku bieżącego zawierał osobną sumę, przeznaczoną na popieranie twórczości naukowej; wynosiła ona ledwie tysiączną część budżetu Rzeczypospolitej. Dotychczas tedy z każdych tysiąca złotych Państwo wydawało na ten cel złotówkę; teraz jednakże wydawać będzie mniej jeszcze. Bo oto preliminarz na rok nadchodzący, przewiduje tylko $^3/_4$ tej złotówki; a że wkraczamy w okres oszczędzania (czemu godzi się przyklasnąć) i że nauka nie uchodzi za rzecz pierwszorzędnej wagi dla Państwa (o czem trudno mówić bez pogardy), przeto i tem trzem ćwierciom grożą nożyce. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć i szerszemu ogółowi i tym, którzy temi nożycami ciąć będą, na co szły i na co iść mają te resztki skąpego grosza. Oto wysyła się za nie garstkę młodzieży wykształconej już w kraju, aby przywiozła z dobrych źródeł wiedzę fachową, na której stoi dzielność kulturalnych narodów. Kilku młodych inżynierów, kilku młodych lekarzy, kilku chemików, gromadka prawników i ekonomistów pobierała stąd stypendja dla dokończenia studjów. Teraz może nie pojadą już, albo niedobitki jedynie — ci zaś, co pojechali, będą musieli na Nowy Rok powracać — jak gdyby dla Rzeczypospolitej z większym było pożytkiem sprowadzać za drogie pieniądze produkty cudze lepszej wiedzy, niż tę wiedzę za nikłe pieniądze do własnego kraju przeszczepiać. Z tego funduszu dalej Państwo udziela zapomóg czasopismom specjalnym. Dajmy się i tutaj unieść zapałowi oszczędzania, a zbraknie funduszów na wydawnictwa z anatomji patologicznej (wszak tam się bada choroby raka), na rocznik geologów (choć trzeba ziemię poznać, aby z niej dolary ciągnąć), na nowe tomy międzynarodowego organu podstaw matematyki, wydawanego u nas w językach światowych (chociaż czyni on z Polski stolicę wielkiego prądu, otwiera tamy dla produkcji najgłośniejszych fachowców zagranicznych i jedna imieniu polskiemu znakomitą sławą), no i oczywiście na szanowny, ceniony zasłużenie organ filologów klasycznych (ponoć łacina nikomu już nie potrzebna, a tembardziej greka; za drogo kosztuje w Polsce podtrzymywać i szerzyć wiedzę, która tłumaczy, skąd się wzięły pojęcia i nazwy kryzysu, katastrofy, ekonomji). A bibljoteki, nasze bibljoteki pełne nietyle książek, ile braków, zawsze za biedne, by móc dostarczać wiedzy współczesnej, zawsze pozbawione wielu potrzebnych czasopism naukowych, obsługiwane z poświęceniem przez niedopłacanych — haniebnie niedopłacanych! — pracowników. A udział Polski w międzynarodowych zjazdach zawodowych? A wreszcie to, co najważniejsze: prace badawcze nad poznaniem skarbów morza polskiego i ziemi polskiej, poznaniem praw przyrody, wszędzie jednakich i dających władzę temu, kto je odkrywa... Do wielkich zdobyczy trzeba jednak wytrwałej pracy, nieraz bezpłodnej z pozoru przez czas dłuższy, przytem pracy ciągłej i wymagającej wkładów. Nie wolno jej przerywać. Oszczędność staje się tu skąpstwem. Z rozsądnej myśli o jutrze staje się ona egoizmem dnia dzisiejszego, który nie dba o dzień jutrzejszy. Nie chcąc tedy zasłużyć na surowy sąd dnia jutrzejszego, nie skąpmy rozumowi własnemu pomocy i nie wydajmy ani na chleb, ani na odzież, — złotówki, przeznaczonej na rozum.

*

Profesor etnologji na uniwersytecie lwowskim dr. Adam Fischer wydał z pomocą zasiłku Min. Oświaty podręcznik etnografji Polski p. t. „Lud polski". Książka ma 240 stronic (3 mapy i 58 ilustr.) w sposób zwięzły i ściśle naukowy podaje całokształt wiedzy o właściwościach etnograficznych szczepów Polskę zamieszkujących. Całość rozpada się na 6 części: Wiadomości wstępne, polski obszar geograficzny, kultura materjalna, kultura społeczna, kultura duchowa, wnioski ogólne. Drobiazgowy wykaz alfabetyczny ułatwia korzystanie z książki.

Jest to drugi umiejętny zarys etnografji polskiej. W dziele zbiorowem, „Polska, obrazy i opisy", wydanem we Lwowie 1904 r. (Macierz polska) Jan Karłowicz, właściwy twórca etnografji polskiej, jako nauki, napisał rys ludoznawstwa polskiego („Lud"). Od tego czasu etnografja posunęła się naprzód, a przytem praca Karłowicza z powodu wyczerpania jest niedostępna. Dzieło prof. Fischera witamy z radością.

*

Autor wstępnego artykułu w zeszycie niniejszym, Bohdan Wasiutyński, profesor uniw. warszawskiego na katedrze prawa administracyjnego, redaktor „Przeglądu Wszechpolskiego", ogłosił w książce wykład pupularny „Nasza Ojczyzna". Rzecz ta wyszła nakładem „Zorzy" i jest na składzie głównym w księgarni Perzyńskiego, Niklewicza i sp. Książka jest doskonałym przewodnikiem krajoznawczym w zakresie wiedzy o ziemi, narodzie i państwie.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Zeszyt gwiazdkowy „Myśli Marodowej" poświęcony będzie głównie znakomitemu poecie Janowi Kasprowiczowi. Znajdą się tam artykuły: Władysława Kozickiego ze Lwowa, Stefana Kołaczkowskiego, Józefa Birkenmajera, Zygm. Wasilewskiego oraz szereg utworów Kasprowicza.

*

Na gwiazdkę ukaże się w handlu księgarskim interesujący utwór powieściowy „Gitara i tamci". Mieliśmy w ręku egzemplarz jeszcze nieoprawiony. Autorką tej interesującej książki jest pani Berta z Wolskich Obertyńska, żona ziemianina z Małopolski Wschodniej, a córka znanej poetki Maryli Wolskiej i ś. p. Wacława Wolskiego. Siostra p. Obertyńskiej jest za Michałem Pawlikowskim z Medyki. Ona, ukryta na okładce pod literami L. P., dodała do książki swoje barwne ilustracje. Rzecz wydana

nakładem „Bibljoteki Medyckiej" (skład główny u H. Altenberga we Lwowie). Wytwornie wydana książka liczy stron 492. Zapowiedź Bibljoteki wyrażona na okładce każe się spodziewać, że nastąpi inne wydawnictwo. Nie dziwilibyśmy się, gdyby Bibljoteka ograniczyła się produkcją zjednoczonych rodzin Pawlikowskich i Wolskich, bo każda niemal tam osoba jest twórcza, ile że przez Jana Pawlikowskiego (młodego) klan ten poszerzył się o rodzinę Kossaków.

Wysoce kulturalne umiłowanie w tradycjonaliźmie było źródłem pomysłu powieści pani Berty Obertyńskiej. Wmyśliła się w losy starej gitary, wyrobionej w Paryżu na początku 19-go wieku W trzynastu nowelach niby w djademie kamei nanizanych na nić wspomnień gitary, stworzyła całość, frapującą przygodami i charakterem epoki. Za punkt wyjścia wzięła fakt, że twórca gitary zmarł w r. 1800 w Wielki Piątek o godzinie 3 po południu z ukończoną gitarą w ręku, a według starodawnych wierzeń, dusza człowieka który o tej porze umrze, pozostaje zaklęta w przedmiocie mu najbliższym. Gitara ta miała duszę, żyła i opowiadzia!a swoje dzieje.

*

Znakomitą książkę popularną napisał inż. S. Jeleński. Nosi ona tytuł „Lilavati", albo „Rozrywki matematyczne". Jest to duża książka, bardzo starannie wydana (u św. Wojciecha w Poznaniu) z 172 rysunkami w tekście z tablicą, a liczy stron 300 (w oprawie). Lilavati (czarująca)—to imię córki matematyka hinduskiego.

Autor kierował się tą myślą, że dla podniesienia sił narodu, trzeba wytworzyć w nowem pokoleniu, obok tężyzny fizycznej i moralnej, dar szybkiego kombinowania, a pod tym względem Polacy w porównaniu z otaczającemi ich narodami — Żydami, Niemcami i Czechami — są upośledzeni. Skuteczną pomocą w ćiwczeniu giętkości umysłu są rozrywki matematyczne.

Nie przypominamy sobie książki gwiazdkowej równie zajmującej. Od figlarnych zadań, któremi p. Jeleński nas zarzuca, trudno się oderwać. Piękny to pomysł, a wykonany przez wytrawnego pisarza, doskonałym językiem wykładającym rzecz precezyjnie i prosto. W literaturze polskiej, o ile wiemy, jest to pierwsza tego rodzaju książka.

SZTUKI PLASTYCZNE

„SALON" W ZACHĘCIE

DOROCZNY „Salon" w Zachęcie — to, mimo wszystko, najkompletniejsza rewja sztuki polskiej, świadectwo jej aktualnego stanu, bilans rocznego dorobku. Jakże przedstawia się on w roku bieżącym, w czasie dla sztuki polskiej niezbyt świetnym, gdy zamyka się jeden okres jej dziejów, a nie zaczął się jeszcze następny?

Oczywiście, poziom dzieł wystawionych jest nierówny. „Jury", jak zaznacza we wstępie do katalogu oficjalnego p. Popowski, kierowało się daleko posuniętym liberalizmem, nic też dziwnego, że obok dzieł dobrych znaleźć można rzeczy całkiem bezwartościowe i że te właśnie stanowczo górują liczbą nad pierwszemi. Rzecz to zresztą zwykła na tego rodzaju wystawach i pod tym względem bywalcy „Zachęty" nie mogą skarżyć się na robienie im niespodzianek. Ważniejsze jednak, iż jest bądź co bądź trochę dzieł dobrych, zarówno malarskich, jak i rzeźbiarskich. Ostatecznie o nie tylko chodzi i im tylko warto nieco więcej poświęcić uwagi.

Na czele malarzy, którzy w r. b. wystawili w „Salonie" swe dzieła, niezaprzeczenie postawić należy Wojciecha Weissa. Wśród szerzącego się coraz bardziej wyrobnictwa i braku ambicyj twórczych, ten szczery, rzetelny artysta budzić musi nietylko podziw, ale szacunek. Weiss nie kopiuje siebie samego w celach zysku, nie idzie za modą, nie schlebia gustom publiczności. Wbrew wiatrom, wiejącym od wschodu i zachodu, pozostał po dawnemu impresjonistą, bliższym dziś nawet, niż kiedykolwiek, Renoir'a. Być może, iż tak, jak on, odtwarza raczej zewnętrzną stronę życia, ale odtwarza ją w sposób znakomity, mistrzowski. Nikt dziś w Polsce nie potrafi namalować tak ciała kobiecego, jak to uczynił Weiss w wystawionym obecnie w Zachęcie „Odpoczynku". Jest to niewątpliwie jedno z najlepszych, najbardziej dojrzałych jego dzieł.

Pod „Odpoczynkiem" widnieje tabliczka z napisem: „Najwyższe odznaczenie honorowe". Trudno o wybór trafniejszy. Ale to samo odznaczenie uzyskał też „Portret hr. St. W." pendzla Kazimierza Pochwalskiego, przykład bezdusznych „oficjalno-międzynarodowych" portretów z końca zeszłego stulecia, portretów, które znaleźć można w salach reprezentacyjnych całej Europy, które z równą łatwością wyobrazić sobie potrafimy w ratuszu w Kopenhadze, w stowarzyszeniu śpiewaczem w Zurychu, czy w auli uniwersytetu w Czerniowcach. A gdy już mowa o sztuce „oficjalno-międzynarodowej" to nie sposób pominąć nowych, choć nic nowego nie przynoszących, „epizodow" batalistycznych Wojciecha Kossaka. Polskość tematu wyrażona jest tam w sposób prosty i łatwy — krojem munduru.

Nie „oficjalnym", ale głęboko, instynktownie narodowym twórcą jest natomiast prof. Stanisław Noakowski. Nikomu przed nim nie objawiła się z taką wyrazistością i siłą tajemnica polskości w architekturze. W „Salonie" tegorocznym wystawił prof. Noakowski trzy szkice akwarelowe, świetne, jak zawsze, zadziwiające śmiałością i bogactwem wyobraźni.

Pięknem dziełem szczerego, prawdziwego artysty jest „Grajek" Vlastimila Hofmana. Dobry „Portret pani F." dał Alfons Karpiński, barwne są „Hucułki" Władysława Jarockiego, dwa obrazy Teodora Axentowicza dobrze reprezentują dwie różne zupełnie manjery tego utalentowanego malarza. Kilka starannie malowanych pejzaży wystawili: Czajkowski, Podgórski, Filipkiewicz.

Wybitnym artystą okazał się p. Bronisław Jamontt, którego „Pejzaż z kapliczką" świadczy o talencie zarówno w dziedzinie rysunku, jak i koloru.

W dziale rzeźb mamy kilka dobrych portretów Brzegi, Jachowskiego, Trzcińskiej-Kamińskiej, oraz piękny fragment Al. Żurakowskiego p. t. „Architektonika".

K. L.

NOWE KSIĄŻKI

Kazimierz Rosinkiewicz. Czarny krzyż i czarny orzeł. Szkic historyczny w obrazach. Warszawa 1926. Nakładem księgarni Perzyński, Niklewicz i Sp.

Jan Zydler. Geometrja w zakresie szkoły średniej. Wyd. 14, poprawione i uzupełnione, z 384 rysunkami w tekście. Warszawa 1926. M. Arct. Str. 365.

Ilustr. Encyklopedja Trzaski, Everta i Michalskiego pod redakcją Stan. Lama. Zesz. 1 (do lit. An).

Antoni Peretiatkowicz dr. prof. Współczesna Encyklopedja polityczna. Cz. I. (A-G). Poznań 1926. Skład główny u Gebethnera i Wolffa.

Włodzimierz Koskowski prof. un. O nikotynie i paleniu tytoniu. Warszawa 1925. Książnica-Atlas. Biblioteka higjen. zesz. IX.

Eug. Romer. Powszechny atlas geograficzny. (Map 24) Książ.-Atlas.

J. K. Iłłakowicz. Połów (poezje) Warsz. (1925) Tow. Wyd. Str. 128.

Edward Słoński. Zaślubiny Polski z morzem. Pieśń o Polsce i morzu. Warsz. 1925. Wyd. Ligi morskiej i rzecznej (z ilustracjami)

Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu wydała na gwiazdkę szereg książek:

S. Jeleński inż. Lilavati. Rozrywki matematyczne (str. 300).
M. Czeska Mączyńska. W obronie Gdańska (z ilustr.).
B. Dyakowski. Wędrówka zwierząt i roślin.
J. Verne. Tajemniczy pilot.
Cooper. Zwierzobójca (z ilustr.).
Wł. Korsak. Na tropie przyrody (z 35 ilustr.).
H. Duninówna. Na skraju lasu.
Julja Piasecka. Koledzy Romcia.
Artur Oppman. Polski zaklęty świat.
Zyg. Wyrobek. As i Mureis (ilustr.).

Bibl. Dzieł Wyborowych wydała: Pawła Gauguina „Noa-Noa", Gustawa Daniłowskiego „Tętent".

Bibl. Domu Polskiego: G. Olechowskiego Buntownicy, E. L. Migasińskiego „Na progu pustyni", A. Mickiewicza" Wybór poezji".

NA MARGINESIE

Wydziwiamy, że w dawnych sądach polskich zabicie lub poranienie chłopa było kilkakrotnie mniej karane, niż szlachcica. Uspokójmy się. Odmienne wagi Temidy pozostały, tylko zmieniono ich szale i ciężarki.

Dzierżawczyni bufetu w Sejmie za niesumienne obrachunki z posługaczkami dostała rok więzienia.

Szeregowiec, który ubliżył oficerom w Łodzi—6 lat więzienia.

Szoferzy, którzy pobili adwokata przez pomyłkę, biorąc go za komisarza rządowego w Wilnie — 2 lata więzienia.

Oficerowie, którzy napadli w nocy i pobili przedstawiciela narodu, członka najwyższej instancji państwowej — Sejmu, ukarani zostali tylko 6 i 3 tygodniami aresztu.

Dodać trzeba, że ten ostatni wyrok był bardzo surowy wobec nagany, jaką gen. Berbecki po napadzie oficerów na redakcję *Dziennika Wileńskiego* udzielił... prasie.

Czy podobna nie pisać satyry?

*

P. Anatol Stern, pisząc w „Wiadomościach Literackich" wstępny artykuł o Reymoncie, taką między innemi czyni uwagę: „Lecz kiedy patrzałem w Katedrze na ciało Reymonta... pomyślałem sobie, że tu jest ojczyzna i pokrewieństwo duchowe pozytywnych ideałów sztuki nowej, a kto wie, może i ten duch religijny, duch chrześcijański, którego tak było nam brak...

Czy tylko było? Iluż pisarzy „Wiadomości Literackich" do dziś wyznaje religję mojżeszową?

*

Tenże p. Stern w tymże artykule pisze: „Słowa te (Reymonta) są jak płomienne zgłoski dantejskiej „Komedji", zamykające księgi „Piekła", „Czyśćca" i „Raju": „Amor, che muove terra e l' altra stelle". Cytat ten jest niescisły. „Piekło" i „Czyściec" kończą się wogóle inaczej, zaś ostatni wiersz „Raju" brzmi w oryginale: „L' Amor che muove il *Sole* e l' altre stelle". Wespół z gwiazdami porusza się więc u Danta słońce (il Sole) nie zaś—jak proponuje p. Stern — ziemia (terra).

Właściwie można się nawet było tego domyślić, skoro się wie, iż „Boską Komedję" pisał Dante jeszcze przed odkryciami Kopernika, że więc trudno mu było przypuścić, aby ziemia mogła się razem z gwiazdami poruszać. Ale gwiazdy — to, jak widać, niebezpieczny temat dla p. Sterna...

*

Pan Antoni Słonimski w sprawozdaniu teatralnem o sztuce, poruszającej zagadnienia towarzyskie, pisze: „Wszystkie te małe komeraże ważną są dziś jeszcze rzeczą, ale bledną z dnia na dzień wobec rysujących się we mgle oddalenia, idących ku nam, praw współżycia ludzi" (Wiad. Lit. nr. 50). Jeżeli się zważy, że w sztuce owej (Galsworthy'ego) była mowa, jaki kłopot z temi zagadnieniami towarzyskiemi ma Żyd, to tem zrozumialszy stanie się motyw propagandy bolszewickiej p. Słonimskiego i jego współwyznawców. W Rosji Żydzi wydostali się z pod jarzma wszelkich przepisów, owszem, po przewrocie narzucili ludziom swoje przepisy. To też wzdychają do przewrotu i w Polsce, suggerują go otoczeniu i przygotowują.

*

Publicyści polscy karcą nastroje desperackie w społeczeństwie, sprzyjające gawędom o możliwości przewrotów. Należałoby ściśle określić, kto te gawędy wszczyna. Pokazałoby się, że najwięcej złego w tym kierunku robią, i to celowo, rozpolitykowani wojskowi, wieczni kondotjerzy rewolucji, których ustrój państwa nie potrafił dotąd wessać, a z drugiej strony bolszewicy żydowscy, marzący o przewrocie gruntownym i wyzyskujący każdy niepokój. Żydzi czekają tylko, aby społeczeństwo zaczęło mówić o jakimkolwiek przewrocie, aby już jawnie swój propagować. Opinja powinna orjentować się w sytuacji i nie pozwalać sobie na żadną małoduszność. Przesilenie w życiu gospodarczem Polski ośmiela agitację. Ale to przesilenie rychło minie. Zanim dojdą do nas z mgłv oddalenia „nowe prawa współżycia ludzi", społeczeństwo potrafi stanąć w obronie starych praw współżycia.

*

Pewna firma w Łodzi za 10 minutową egzekucję zaległej należności Kasy Chorych musiała zapłacić 125 zł. kary. Nie zdziwilibyśmy się wcale, gdyby główny bohater roztrwonienia funduszów tej Kasy był przedstawiony do nagrody Nobla. Bo głównem znamieniem naszych zarządzeń polityczno-społecznych jest to, że w nich wszystko dzieje się — jak Żydzi mówią — „na wiwrót".

*

Powoli społeczeństwo nasze wobec zamierzonych zmian w budżecie rozłamuje się na dwa stronnictwa: mężczyźni oświadczają się za oszczędnościami, kobiety — przeciw. Usprawiedliwiają one swój opór doskonale. Niech wam wystarczy — mówią — wielka redukcja sukien od góry do dołu; nie wymagajcie, ażebyśmy jeszcze nosiły jednego kroju ubrania, trzewiki i kapelusze przez trzy — miesiące. To już byłby skandal.

KRONIKA OGÓLNA

SPRAWY WEWNĘTRZNE

Minister Skarbu Zdziechowski wygłosił w Sejmie exposè programowe, zapowiadajace zrównoważenie budżetu i poczynienie wszelkich wysiłków dla ożywienia życia gospodarczego.

Komisja budżetowa Sejmu uchwaliła: prowizorjum budżetowe na kwartał I r. 1926, ustawę o zabezpieczeniu równowagi budżetowej, oraz ustawę o drugiej emisji pożyczki dolarowej.

Pos. prof. Stanisław Głąbiński wybrany został na prezesa komisji budżetowej Sejmu.

Komisja administracyjna Sejmu uchwaliła projekt ustawy o stabilizacji urzędników. Projekt ten odracza termin stabilizacji do r. 1927.

Na ostatnim tajnym konsystorzu Ojciec Św. mianował: ks. Cieplaka — arcybiskupem wileńskim, ks. Sapiehę — arcybiskupem krakowskim, ks. Szelążka — biskupem łuckim, ks. Jałbrzykowskiego — biskupem łomżyńskim, ks. Hlonda — biskupem katowickim i ks. Kubinę — biskupem częstochowskim.

W Warszawie obchodzono uroczyście stuletnią rocznicę założenia warszawskiego obserwatorjum astronomicznego.

Teatr Polski w Poznaniu obchodził uroczyście pięćdziesięciolecie swego istnienia. Na uroczystem przedstawieniu jubileuszowem odegrano komedję Korzeniowskiego „Wąsy i Peruka".

SPRAWY ZAGRANICZNE

Francuski minister skarbu Loucheur podał się do dymisji. Następcą jego będzie prawdopodobnie prezes komisji skarbowej Senatu Doumer.

Prezydent Rzeszy Hindenburg powierzył misję tworzenia nowego rządu niemieckiego przywodcy stronnictwa demokratycznego Kochowi.

Rada Ligi Narodów wybrała na stanowisko komisarza Ligi w Gdańsku Holendra von Hamela.

KRONIKA ŻAŁOBNA

Zmarł w Warszawie wybitny architekt Jan Heurich były kierownik ministerstwa kultury i sztuki.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Rysz. Ciech. w Kutnie. Będziemy przysyłali bezpłatnie, ale za to prosimy o jednanie nam prenumeratorów w kółach znajomych.

Panu Cz. R. w P. Dziękujemy za uznanie. Staramy się istotnie, aby pismo było coraz lepsze. Pracujemy na warsztacie skromnym, nie stać nas na powiększanie rozmiarów. Za nadesłane adresy bardzo jesteśmy wdzięczni. Nadesłaną kwotę zaliczyliśmy na kw. I 1926 r.

Pani H. Sm. w S. Nie możemy robić ustępstw dla podobania się ludziom bez myśli i smaku. Pismo straciłoby swoją rację bytu. Dość już chyba mamy w literaturze licytowania się na głupotę i prostactwo. Licytujmy się trochę *in plus*. Arystokratyzm ducha obowiazuje i demokrację.

Panu St. N. Bez porządnej kultury umysłowej nic Pan nie zrobi z talentem swoim. Nie zbawi Pan świata kiepską poezją, raczej ten zyska, kto jej nie przeczyta. Trzeba poprostu się uczyć.

Panu K. Br. w W. Numery okazowe rozesłaliśmy według dostarczonych adresów. Należy się do 1 kwietnia jeszcze 3 zł.

Panu J. Tow. K. Dziękujemy serdecznie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. **8**, rocznie zł. **30**, za granicą kwart. zł. **12**. Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.